ANNA ŚWIDERKÓWNA

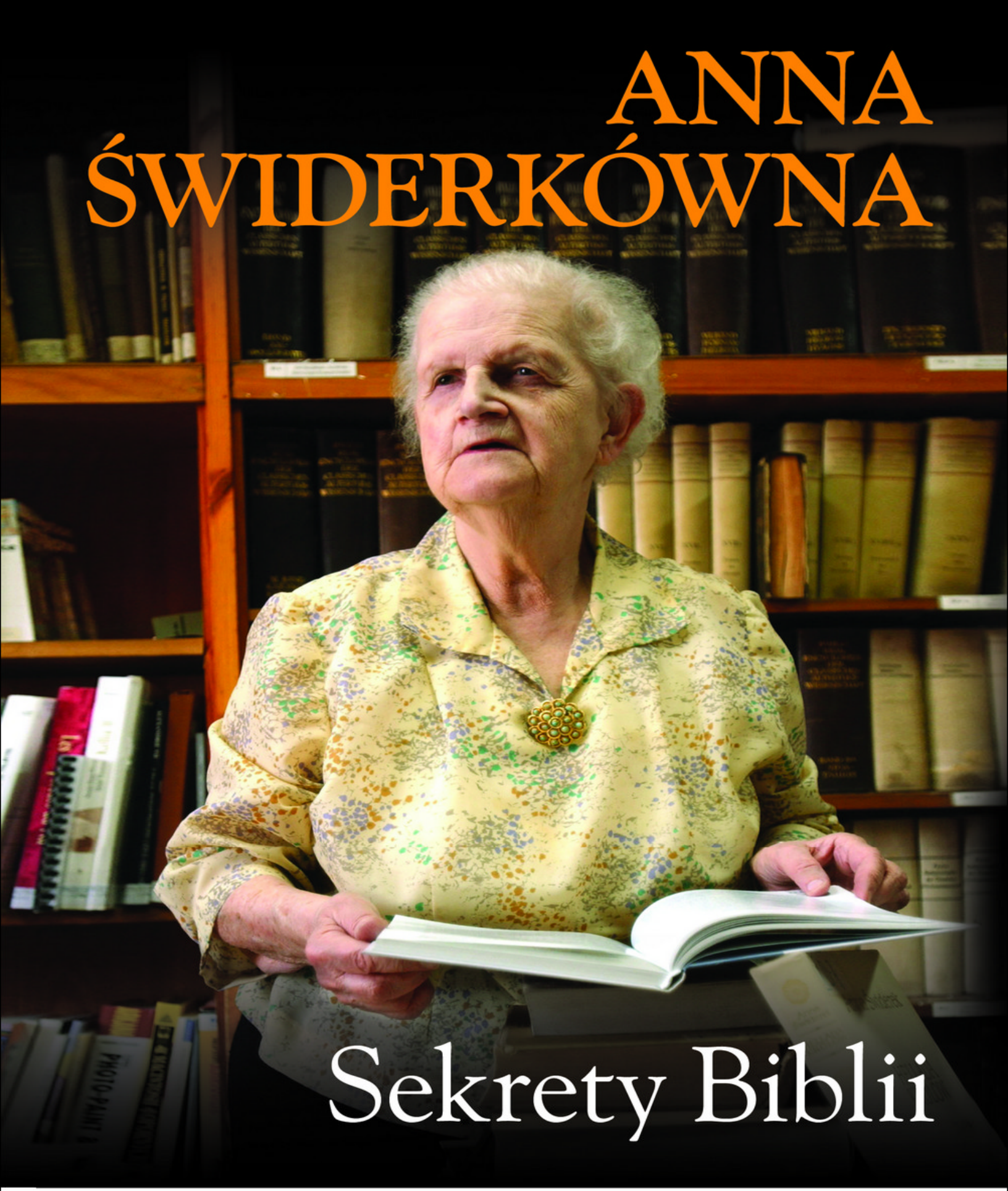

Sekrety Biblii

WYDAWNICTWO m

Sekrety Biblii
Anna Świderkówna
Wydawnictwo M 2012

Redaktor techniczny:
Ewa Czyżowska

Redakcja:
Jarosław Sołtys

Korekta:
Barbara Turnau

Fot. na okładce:
Wojtek Druszcz / REPORTER

Okładka:
Radosław Krawczyk

© Copyright by Hanna Trippenbach-Dulska, Kazimierz Dulski
© Copyright by Wydawnictwo M, Kraków 2012

ISBN 978-83-7595-440-1
ISBN wersji cyfrowej: 978-83-7595-459-3

Wydawnictwo M
ul. Kanonicza 11, 31-002 Kraków

tel. 12-431-25-50; fax 12-431-25-75
e-mail: mwydawnictwo@mwydawnictwo.pl
www.mwydawnictwo.pl
www.ksiegarniakatolicka.pl

Wstęp

Pozwolą państwo, że na początku powiem kilka słów o sobie samej. Otóż jestem profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. Tak dziwnie się składa, że pracuję 50 lat na uniwersytecie, a jednocześnie 50 lat temu zaczynałam studia. Tak się ułożyło, że etat na uniwersytecie dostałam na pierwszym roku studiów. Ponieważ to był pierwszy rok po wojnie, to takie cuda się działy. Jestem filologiem klasycznym, tak że greka jest moim językiem i dzięki temu mam ten przywilej, że Nowy Testament czytam w oryginale. Na starość zaczynam się uczyć trochę hebrajskiego i to mi już dużo daje. Jestem też wydawcą tekstów, wiem, co to znaczy wydawać tekst zachowany źle, starożytny. Jestem historykiem świata pogańskiego sprzed narodzenia Chrystusa, ostatnich trzech wieków przed naszą erą. I kiedy przychodzę do Jerozolimy ze świata pogańskiego, to daje mi to troszkę inną perspektywę. Ks. bp prof. Jan Szlaga, pisząc recenzję z mojej książki, napisał, że prof. Świderkówna jest wolna od gorsetu biblisty i że daje jej to możliwość wyjmowania ze starego skarbu rzeczy nowych i starych. Jestem mu bardzo wdzięczna za to stwierdzenie. Mówiąc zupełnie uczciwie, to Pan Bóg przygotował mnie do tego, co robię przez całe moje życie. Oczywiście nie będę w tej chwili państwu opowiadała mojego życia, bo nie po to się tutaj spotkaliśmy. Powiem tylko tyle, że pod koniec mojej kariery akademickiej nie mam już czasu ani możliwości zajmowania się niczym innym poza Pismem Świętym. Piszę tylko o Piśmie Świętym i mówię tylko o Piśmie Świętym, po prostu tak wielkie jest zapotrzebowanie. Tyle tytułem wstępu, żeby państwo wiedzieli, dlaczego się do tej tematyki zabieram.

Bóg stał się konkretnym człowiekiem

Chcę zacząć od słów św. Pawła, zresztą bardzo znanych słów z Listu do Galatów. Jest to tekst, który często jest czytaniem liturgicznym w święta maryjne, przynajmniej w Liturgii Godzin. „Gdy nadeszła pełnia czasu, zesłał Bóg Syna swego, zrodzonego z niewiasty, zrodzonego pod Prawem" (4, 4). Proszę państwa, pan Tejkowski powiedział kiedyś, że Jezus nie był Żydem, dlatego że jest Bogiem, Bogiem, który się wcielił w uniwersalnego człowieka. Otóż nie ma takiego pojęcia jak uniwersalny człowiek. Zresztą św. Paweł mówi zupełnie wyraźnie, że ten Bóg, ten Syn Boży, zrodził się z kobiety, konkretnej kobiety. I zrodził się pod Prawem, to znaczy w świecie posłusznym Prawu Mojżeszowemu, urodził się jako Żyd. I jeszcze coś bardzo ważnego – wszyscy, przynajmniej prawie wszyscy mamy skłonność ulegać wczesnochrześcijańskiemu doketyzmowi. To była herezja, która polegała na tym, że chrześcijanom trudno było się pogodzić z faktem, iż Bóg miał umrzeć na krzyżu. Szukano więc jakiegoś wyjścia i uznano, że Bóg nie stał się naprawdę człowiekiem, tylko udawał, że jest człowiekiem, i że to nie Chrystus umarł na krzyżu, tylko jakieś ciało astralne. Tymczasem to, co jest tak nieprawdopodobnie ważne w chrześcijaństwie, co jest jedyne i zupełnie wyjątkowe, to jest właśnie to, że Bóg stał się konkretnym człowiekiem, który się urodził określonego dnia, choć nie znamy dokładnej daty urodzenia Jezusa, i według wszelkiego prawdopodobieństwa zmarł 7 kwietnia 30 roku, bo mniej prawdopodobna jest data późniejsza – 3 kwietnia 33 roku.

Proszę państwa, chciałabym zrobić nie dygresję, tylko ilustrację do tego. Otóż w 1989 roku w Genewie zawarłam znajomość z bardzo ciekawym człowiekiem, z religioznawcą, historykiem religii greckiej, profesorem Uniwersytetu Genewskiego. Nazywał się Jean Rudhardt. To bardzo ciekawy człowiek, który był absolutnym ateistą, kiedy się zabrał do studiowania religii greckiej, jak sam przyznał we wstępie do książki wydanej wiele lat później. Był przekonany, że studia nad

religią grecką utwierdzą go w ateizmie. Tymczasem stało się inaczej. Otóż jako religioznawcę uderzyło go, że w różnych religiach spotyka się z mitem bóstwa, które zstępuje do podziemia, czyli jakby umiera, i potem z tego podziemia powraca. Ale to jest zawsze mit, coś, co się dzieje całkowicie poza historią. Natomiast tylko w chrześcijaństwie mamy fakt historyczny, to znaczy mamy człowieka, konkretnego człowieka, który się urodził i umarł konkretnego dnia, w konkretnym miejscu, i który, jak wierzą Jego wyznawcy, zmartwychwstał. Otóż, proszę państwa, ta konkretność Jezusa, ta historyczność jest tym, co z jednej strony może takiego człowieka, jak ów prof. Rudhardt, zafascynować, natomiast innych niewierzących może nawet odpychać. Byliby oni być może skłonni uznać jakieś bóstwo, ale nie tego konkretnego człowieka, syna konkretnego narodu.

Jeszcze jest jedna rzecz, o której my, pobożni chrześcijanie z kolei, też często zapominamy, otóż owo prawdziwe człowieczeństwo Jezusa. Przyczyniła się do tego stara teologia. Chodzi o przekonanie, że nowo narodzone Dzieciątko Jezus, nawet już w łonie Matki, miało wszechwiedzę Bożą. To, co teraz powiem, to nie jest moja hipoteza ani nie jest to hipoteza któregokolwiek z biblistów, tylko oficjalny dokument Papieskiej Komisji Biblijnej zatytułowany Biblia i chrystologia i opublikowany w 1984 roku. Dokument zestawia wszystko, co na podstawie Biblii wiemy o Chrystusie, co możemy powiedzieć o Chrystusie, nie wychodząc poza Pismo Święte. I tam jest powiedziane, że nie wiemy, w jakim momencie Jezus zdaje sobie sprawę ze swojego Synostwa, ale dzieje się to bardzo wcześnie, bo już 12-letni Jezus w świątyni wyraźnie o tym mówi, przeciwstawiając Józefa swojemu prawdziwemu Ojcu. To, że jest Synem – wracam tu do dokumentu Papieskiej Komisji Biblijnej – nie przeszkadza Mu być w pełni człowiekiem, który według tego samego Łukasza wzrastał w mądrości w latach i w łasce wobec Boga i wobec ludzi. Tak zyskiwał stopniowo, od dzieciństwa zapewne aż do śmierci na krzyżu, coraz jaśniejszą świadomość misji otrzymanej od Ojca. I to jest, proszę państwa, wyjaśnienie tego szczególnego zdania z Listu do Hebrajczyków: „I chociaż był Synem, nauczył się posłuszeństwa przez to, co wycierpiał” (5, 8), to znaczy, że On stopniowo dojrzewał jako człowiek, bo był prawdziwym człowiekiem, a nie udawał tylko, że jest człowiekiem.

A człowieczeństwo to także warunki zewnętrzne, kraj, w którym się urodził i w którym wzrastał, język, jakim mówił. Językiem Jezusa był aramejski, o czym świadczą słowa Jezusa zachowane w języku oryginalnym, przede wszystkim w Ewangelii św. Marka. Raz jest to słowo Abba w modlitwie w Getsemani, które zresztą powtarza się potem u św. Pawła w Liście do Rzymian; potem Talitha kum, „dziewczynko, wstań"; Effatha, „otwórz się", i słowa na krzyżu Eloi, Eloi, lemasabachthani, „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił". To jest po aramejsku, nie po hebrajsku, bo św. Mateusz już troszeczkę zmienił i napisał Eli, Eli, a to jest hebrajski wołacz. Natomiast u Marka mamy strzępy własnej mowy Jezusa, języka aramejskiego.

Świat Jezusa to jest cały sposób myślenia, świat inny od naszego, świat, który jest odległy nie tylko w czasie, ale i w sposobie myślenia. I my bez zrozumienia, bez poznania tego świata, w którym Jezus się urodził i żył, nie bardzo możemy Jego samego zrozumieć. Chociażby te aramejskie słowa. SłowoAbbato jest cała teologia w tym jednym słowie zawarta. Przypuszczam, że większość z państwa wie, o co chodzi. Po prostu to jest słowo wzięte z życia rodzinnego. Pobożni Żydzi mogli nazywać Boga Ojcem, ale Bóg był Ojcem Izraela jako ludu wybranego, był Ojcem każdego stworzenia jako Stwórca. Natomiast Jezus mówi do Boga Abba, używa słowa, jakim dziecko zwracało się do swego ojca, to jest jakby „tatusiu", choć bez przesadnej poufałości. Dostosowała się do tego nawet biblijna greka. Tam gdzie Jezus mówi „Ojcze", to grecka forma posługuje się mianownikiem zamiast wołaczem, ponieważ i aramejski, i hebrajski nie mają wołacza.

Uderzyło mnie, kiedy s. Kinga Strzelecka we wspomnieniach z Izraela przytacza taki moment, kiedy była w domu swoich przyjaciół Żydów i przybiegła córeczka jej przyjaciela i rzuciła się ojcu na szyję, wołając Abba! Jezus tym słowem zwracał się do swojego Ojca i już samo to świadczy o tym, że ten stosunek między Ojcem a Synem był zupełnie wyjątkowy. To się zresztą wyraża także w tym, że Jezus nigdy nie mówi „Ojciec nasz", „Ojciec wasz", lecz „Ojciec mój" albo po prostu „Ojciec". Tylko kiedy dyktuje uczniom modlitwę, jaką mają odmawiać, mówi: „Będziecie mówić: Ojcze nasz". On zawsze czyni różnicę, właśnie ta różnica wyrażona jest chyba najlepiej w tym

jednym słowie Abba, w którym zawarła się cała teologia Synostwa Bożego Jezusa. Ale do tego, żeby to zrozumieć, musimy nie tylko wiedzieć coś z aramejskiego, ale i znać zwyczaje tych ludzi. Jeżeli ich nie będziemy znać, to nie zrozumiemy Jezusa.

Proszę państwa, wielokrotnie spotykamy Jezusa w synagodze, nie potrzeba podawać przykładów. Przypomnę tylko sam początek Ewangelii św. Marka (1, 14nn), ten dzień w Kafarnaum (mogę państwu powiedzieć tak zupełnie na marginesie, że dla mnie w tej chwili dzień w Kafarnaum ma inne znaczenie niż dwa miesiące temu, bo trochę więcej niż miesiąc temu tam byłam; to się zupełnie inaczej odbiera, pojmuję teraz Goethego, który powiedział, że ten, kto chce poznać poetę, powinien się udać do kraju poety). Tego dnia Jezus powołał uczniów i zaraz potem przyszedł z nimi do Kafarnaum, w szabat wszedł do synagogi i nauczał. Potem ciągle w szabat zachodził do synagog i tam nauczał (por. Mk 1, 39). Mamy też scenę z Ewangelii św. Łukasza (rozdz. 4), gdzie Jezus przemawia tym razem w synagodze w Nazarecie i zachowuje się tak, jak normalnie zachowuje się pobożny Żyd. „W dzień szabatu udał się swoim zwyczajem do synagogi i powstał, aby czytać. Podano Mu księgę proroka Izajasza. Rozwinąwszy księgę [księgi żydowskie były zawsze w postaci zwoju], znalazł miejsce, gdzie było napisane: Duch Pański spoczywa na Mnie, ponieważ Mnie namaścił i posłał Mnie, abym ubogim niósł dobrą nowinę” (Łk 4, 16–18a). Jezus odniósł te słowa prosto do siebie, powiedział, że spełniły się na ich oczach w synagodze. Później Jezus spierał się ze swoimi przeciwnikami w Jerozolimie (por. Mt 21–22). Mamy najpierw dysputę z saduceuszami o władzę. Saduceusze to była taka arystokracja kapłańska, która z zasady była skłonna do kompromisu, pragnęła zachować przede wszystkim pokój, żeby zachować Świątynię, żeby się nic nie stało Świątyni. Uznawali oni za natchniony tylko Pięcioksiąg Mojżeszowy, może jeszcze jakieś inne księgi, ale w żadnym razie nie uznawali tych najpóźniejszych. Zadali Jezusowi pytanie dotyczące zmartwychwstania (por. Mt 22, 23nn). Przytoczyli taki śmieszny przypadek, że skoro umarło siedmiu braci i każdy z nich miał tę samą kobietę za żonę, to po zmartwychwstaniu czyją ona będzie żoną? A na to Jezus odpowiedział, że błądzą, gdyż nie znają ani Pisma, ani potęgi Boga. Przy zmartwychwstaniu nikt się nie będzie żenił, nikogo za mąż nie wydają, lecz wszyscy będą jak aniołowie w niebie. Chodzi mi o to, jakiego argumentu używa Jezus. Jezus świadomie nie wykorzystuje

12. rozdziału Księgi Daniela, która powstała w połowie II wieku przed Chrystusem i jako późna była odrzucana przez saduceuszów, lecz sięga do Pięcioksięgu, żeby użyć argumentu, który powinien do nich przemówić. I przytoczył słowa z Księgi Wyjścia (3, 6) „Ja jestem Bóg Abrahama, Bóg Izaaka i Bóg Jakuba" i od siebie dodał komentarz: „Bóg nie jest Bogiem umarłych, lecz żywych".

Potem naraz przyszli faryzeusze. Faryzeusze to była druga grupa. Ani jedni, ani drudzy nie byli tacy źli, jak nam się wydaje, a już faryzeusze zdecydowanie nie. Do tego, żeby zrozumieć Nowy Testament, musimy coś wiedzieć o świecie, w którym Jezus żył i nauczał. Trzeba tu powiedzieć, że faryzeusze byli różni. Talmud babiloński mówi o siedmiu grupach faryzeuszy, którym zarzuca obłudę i nazywa szarlatanami. Ale wśród tych siedmiu grup jest jedna taka, o której Talmud mówi, że to prawdziwi faryzeusze i nazywa ich faryzeuszami miłości. Jeżeli starcie między Jezusem a faryzeuszami było takie ostre, to dlatego, że Jezus był im najbliższy, a oni byli najlepiej przygotowani, żeby Jezusa przyjąć. Trzeba to dostrzegać, bo inaczej wszystko się nam w jakiś sposób wykrzywia. Słowa, którymi zaczyna się Kazanie na Górze, to błogosławieństwa. Te błogosławieństwa mają swój odpowiednik w tradycji żydowskiej. Chciałabym zatrzymać się na słowach: „Nie sądźcie, że przyszedłem znieść Prawo albo Proroków. Nie przyszedłem znieść, ale wypełnić" (Mt 5, 17). My natomiast często zachowywaliśmy się tak, jakby Stary Testament, Prawo i Prorocy, cała Biblia hebrajska się nie liczyła, jakby to było nieważne. Nie zrozumiemy Nowego Testamentu, jeżeli nie będziemy mieli w sercu i w pamięci Starego. I to jest coś niesłychanie ważnego. Nie zrozumiemy Nowego Testamentu, jeżeli się nie nauczymy od naszych starszych braci Żydów sposobu patrzenia na Boga i na Jego relację do nas.

Kiedy Bóg objawia się Mojżeszowi w krzaku ognistym (por. Wj 3, 14), kiedy Mojżesz prosi Boga, żeby mu ujawnił swoje imię, to Bóg mówi Mojżeszowi, jak czytamy w naszych przekładach, „Jestem, który Jestem". Jednakże już tłumacze greccy z III wieku przed Chrystusem, choć byli to Żydzi aleksandryjscy świetnie znający hebrajski i grecki, całą literaturę biblijną i bardzo wiele z literatury greckiej (może właśnie trochę za wiele), przetłumaczyli to na grekę „Jestem będący". To „który Jestem" zamienili na imiesłów. „Jestem

będący", dlaczego? Dlatego, że oni to odczytali zgodnie z filozofią grecką jako Absolut. To znaczy, że Bóg tutaj się określił jako Byt Absolutny. Św. Hieronim nie miał wyboru, musiał przetłumaczyć Ego sum qui sum – „Jestem, który Jestem", bo po łacinie nie ma imiesłowu czasownika „być". Potem taki został sztucznie urobiony. Św. Tomasz z Akwinu wysnuł z tych słów Bożych wspaniały obraz Bytu Absolutnego, Bytu, w którego naturze jest to, że jest.

Tak, wszystko dobrze, ale kiedy wrócimy do tekstu hebrajskiego, to okazuje się, że w tych słowach „Jestem, który Jestem" tylko jedno słowo jest dobrze przetłumaczone: „który". Po prostu dlatego, że to można było przetłumaczyć, natomiast czasownik jest nieprzetłumaczalny. Po pierwsze, ponieważ czasownik hebrajski ma bardzo dużo form, ale nie ma czasów. To jest bardzo dziwne zjawisko. Ma tylko formę dokonaną i niedokonaną. W oryginale jest forma niedokonana, a może to być czas teraźniejszy, może być czas przyszły, może być jeszcze wiele innych rzeczy. Po drugie to nie jest „Jestem" takie jak na przykład książka „jest" na stole czy stół „jest" na podłodze. To jest taka obecność statyczna, po prostu stwierdzenie, że coś się gdzieś znajduje. Natomiast hebrajski czasownik użyty tutaj znaczy: „Jestem tu, Jestem dla was, Jestem z wami". Jest to właściwie to samo, co Bóg powiedział Mojżeszowi nieco wcześniej: „Ja będę z tobą" (Wj 3, 12). Bo to właściwie znaczy „Jestem z tobą tutaj tym, którym z tobą będę tutaj" albo „Będę z tobą tym, który z tobą będę" czy „Będę z wami tym, który z wami będę". Co to znaczy? To znaczy, że naród wybrany ma się uczyć, kim jest jego Bóg, z własnej historii. I tak się będzie uczył, to znaczy Bóg najpierw objawił mu się w momencie wyjścia z Egiptu, objawił się jako Zbawca. To było pierwsze. I dopiero później tych, których wyprowadził z Egiptu, ukształtował na pustyni, stworzył z nich naród. Stworzył Izraela za pośrednictwem Mojżesza. Wtedy też zaczęli stopniowo rozumieć, że Bóg jest także Stwórcą, ale po pierwsze objawił im, że jest Zbawcą.

I to jest właśnie drugie słowo, goel, którego zupełnie nie da się przetłumaczyć. My tłumaczymy je często jako Odkupiciel. Ale goel to nie jest Odkupiciel, bo nie wykupił ich przecież. Goel zgodnie ze zwyczajowym prawem Izraela to ktoś, na kogo spada obowiązek opieki nad najbliższym krewnym. Jeżeli ktoś znalazł się w trudnej sytuacji, to na jego najbliższym krewnym ciążył obowiązek przyjścia

mu z pomocą, bo był jego goelem. Jeżeli dostał się do niewoli, to jego krewny powinien go wykupić właśnie. Jeżeli ktoś został zabity, to jego krewny jako jego goel miał obowiązek pomścić jego śmierć. Nie było jeszcze prawa, nie było prokuratury, która by ścigała zabójstwo, tylko goel miał obowiązek wypełnić sprawiedliwość. To, że Bóg jestgoelem, nie oznacza dosłownie bycia odkupicielem, ale Bóg objawia się im przy wyjściu z Egiptu jako ten ich najbliższy opiekun, który poczuwa się do obowiązku opieki nad nimi.

Bóg będzie się im objawiał we wszystkim, jak powiedział to francuski teolog YvesCongar w wielkim skrócie myślowym, co oczywiście nie śniło się autorom biblijnym, kiedy pisali słowa „Jestem, który Jestem". „Zobaczycie Mnie, kim będę. Będę przejściem przez Morze Czerwone, będę waszą manną na pustyni, będę wężem miedzianym, będę Jezusem Chrystusem". A ja bym powiedziała, że dla nas jedna rzecz jest ważna, której powinniśmy się uczyć od naszych starszych braci i od samego Jezusa i Jego uczniów. Powinniśmy się uczyć odczytywania przede wszystkim naszego własnego życia, to znaczy tego, że Bóg w naszym własnym życiu objawia nam się wielokrotnie, często w sposób zaskakujący, bo Bóg się objawił Izraelowi także nie tylko wtedy, kiedy wyprowadził ich z Egiptu, ale i kiedy pozwolił Nabuchodonozorowi zdobyć Jerozolimę i zburzyć Świątynię Jerozolimską; wtedy także, kiedy król grecki Antioch IV w 167 roku przed Chrystusem zarządził wielkie prześladowanie Żydów palestyńskich. To także było objawienie. Bóg nam się objawia na każdym kroku naszego życia, przede wszystkim życia każdego człowieka. My rozumiemy je indywidualnie, ale chodzi także o życie naszego narodu i historię ludzkości.

Druga sprawa niesłychanie ważna to, jak ten świat Jezusa rozumiał słowo Boże. Mamy tu niesłychanie ciekawy tekst z Dziejów Apostolskich, tzw. mowę Szczepana przed Sanhedrynem (Dz 7) poprzedzającą jego ukamienowanie. Jest tam powiedziane, że Mojżesz na górze Synaj otrzymał słowa żywe, aby je Żydom przekazać (w. 38). W greckim oryginale jest dosłownie „żyjące". Jest pewna różnica. Co znaczą te „słowa żyjące"? Odpowiem przykładem z historii Kościoła. Otóż Kościół, który jest żywym ciałem Chrystusa, jest także instytucją ludzką. I tej instytucji ludzkiej od czasu do czasu grozi skostnienie. Grozi coś takiego, co patrząc po ludzku było przed

Janem XXIII. Nie darmo nazwano wybór Jana XXIII przymusowym lądowaniem Ducha Świętego. Ponieważ Kościół nie jest tylko instytucją ludzką, a właściwie ta instytucja ludzka tworzy tylko jak gdyby zewnętrzny widoczny szkielet, to od czasu do czasu Duch Święty wprowadza porządek w Kościele. Chociażby ten porządek w pierwszym momencie robił wrażenie bałaganu. To, co zrobił Jan XXIII i Sobór Watykański II, to było jakby otwarcie szczelnie zamkniętych drzwi, przez które wpadł wicher. Wiadomo, że jak wpada gdzieś wiatr, to lecą różne śmieci. I tutaj była taka sytuacja, istniało bowiem niebezpieczeństwo, że słowo Boże, nauka Boża stanie się takim świętym słowem, sztywnym, martwym. A słowo Boże, jak mówi św. Szczepan, jest słowem żyjącym, co nasi bracia Żydzi zawsze bardzo dobrze wiedzieli.

Nie wiem, czy państwo zdają sobie sprawę z tego, że to, czego Kościół uczy o Tradycji, o wzajemnej roli Tradycji i Pisma Świętego, odziedziczyliśmy w jakiejś formie po faryzeuszach, po judaizmie faryzeuszów. Bo saduceusze to byli tacy protestanci na wiele wieków przed Lutrem. Luter powiedział sola scriptura, tylko to, co jest w Piśmie, jest ważne, a Tradycja się nie liczy. Saduceusze trzymali się dosłownie tylko tego, co jest w Piśmie, i wszystkie interpretacje odrzucali. Natomiast faryzeusze wierzyli, że to, co otrzymał Mojżesz na Synaju, to było znacznie więcej niż to, co zostało spisane w Pięcioksięgu Mojżesza. I ten Pięcioksiąg, który nazywali Torą, to Tora spisana i Tora ustna. Jeden z późniejszych rabinów powiedział: „Co to jest Tora? Tora to jest interpretacja Tory". O co chodzi? Chodzi o to, że słowo Boże nie może być nigdy słowem martwym. I to nie jest tak, że Bóg raz coś powiedział Mojżeszowi, Bóg coś raz powiedział prorokowi Jeremiaszowi czy Danielowi. Bóg mówił, chodząc po ziemi jako Jezus i koniec kropka. I to są słowa zapisane, martwe, które już dla nas nie mają znaczenia.

Powiedziałam tutaj o faryzeuszach, ale może warto zacytować Księgę Powtórzonego Prawa. (Księga ta w swej najstarszej części powstała w VIII wieku p.n.e. Ostatecznie przybrała swoją postać w VII wieku, to jest mniej więcej 600 lat po śmierci Mojżesza. Zawarte tam mowy są tak skomponowane, jakby je wygłosił sam Mojżesz, ale w rzeczywistości Mojżesz ich nie wypowiedział. Już twórca historiografii naukowej, Tukidydes, wielki historyk grecki z końca V

wieku p.n.e. mówił wprost, że on mów nie mógł zapisać dokładnie tak, jak były wygłoszone, wobec tego pisał je tak, jak najlepiej odpowiadało to okolicznościom. To samo zrobili autorzy Księgi Powtórzonego Prawa). Mojżesz powiedział tam: „Nie zawarł Pan tego przymierza z ojcami naszymi, lecz z nami, którzy tu dzisiaj wszyscy żyjemy" (5, 3). Chodzi o to, że słowo Boże – i to Żydzi z czasów Jezusa i Żydzi dzisiejsi, którzy naprawdę wierzą, doskonale rozumieją – nie zostało zamknięte, ono się zwraca do nas dzisiaj, ono jest żyjące. Ale uwaga, to nie my mamy sobie interpretować to słowo tak, jak nam się podoba, bo wtedy można by wyrwać dowolne zdanie z Pisma Świętego i dowolnie je zastosować. Przypomnę państwu scenę kuszenia Jezusa, kiedy to Szatan cały czas operuje Pismem Świętym. Kościół uczy dzisiaj, że przede wszystkim trzeba próbować zrozumieć, co biblijny autor ludzki chciał powiedzieć, i od tego, co autor biblijny chciał powiedzieć, iść dalej. To znaczy, jeżeli raz zrozumiemy, przynajmniej w przybliżeniu, co autor biblijny chciał powiedzieć, to możemy z tego wysnuwać wnioski dla nas dzisiaj.

Przyjrzyjmy się przypowieści o synu marnotrawnym. Kiedy była spisywana przez św. Łukasza, to chodziło przede wszystkim o dwa poziomy. Po pierwsze, ten starszy syn to faryzeusze, którzy się oburzają na Jezusa, że zajmuje się tymi najgorszymi, tymi, których prawo uważa za nieczystych. Po drugie, kiedy Ewangelia była spisywana, to ten syn starszy to był judaizm, Synagoga, która odrzuciła chrześcijaństwo, to znaczy pogan, którzy przyszli później, którzy wrócili jak syn marnotrawny do ojca. Ale to jest też Ewangelia dla każdego z nas i każdy z nas może odkryć siebie czy to w osobie tego starszego syna... a no właśnie, bardzo często właśnie w osobie starszego syna, który nie potrafi docenić tego wielkiego szczęścia, o którym mówi ojciec: „Ty zawsze ze mną jesteś i wszystko, co moje, twoje jest". Ale może też w osobie młodszego syna, nie tylko wtedy, kiedy coś złego popełniliśmy i nie mamy odwagi wrócić, ale i wtedy, kiedy na przykład nam się zdaje, że na to, żeby naprawdę służyć Bogu, trzeba jakiejś wielkiej miłości. Proszę zwrócić uwagę, że młodszy syn wraca do ojca nie z miłości, po prostu jest mu źle, jest głodny i dlatego wraca. I nikt mu nie powiedział w domu ojca: „Jak trwoga, to do Boga". Mogę powiedzieć śmiało, że w słowie Bożym ukryte jest znacznie więcej niż to, co rozumiał autor biblijny, który te słowa spisał.

Powiem jeszcze jedną rzecz na podstawie moich doświadczeń z wieloletnich rozmów z ks. Janem Twardowskim. Często przytrafia się księżom, którzy mają wygłosić kazanie, a teksty biblijne w liturgii powtarzają się, że nie wiedzą, co powiedzieć. Potrzeba tu wielkiej otwartości na Ducha Świętego, a wtedy okazuje się, że pojedyncze słowa czy zdania są studnią bez dna. I trzeba pamiętać, że to słowo jest do mnie dziś zwrócone. Chociaż ono zostało zapisane przed wiekami.

Niepokalaną można jednak naśladować w Jej wierze

Bardzo ważne są dla mnie słowa św. Elżbiety: „Błogosławiona, któraś uwierzyła". Jest to dlatego ważne, że nasz kult maryjny, taki niesłychanie popularny, tak bardzo ważny w naszym życiu narodowym, jest czymś bardzo pięknym. Ale trzeba sobie powiedzieć, że też ma wielkie słabości i że nie bez podstaw zarzucają nam – protestanci czy inne grupy, które się narodziły z Kościołów reformowanych – że nam Maryja przesłania Boga. Mnie samą doprowadza to do rozpaczy w pewnym sensie, jak obserwuję ludzi wchodzących do kościoła, którzy nie uklękną przed Najświętszym Sakramentem, tylko zwrócą się tyłem do ołtarza i uklękną, nawet nie przed Matką Boską, tylko przed jakimś innym mniej ważnym świętym, który jest akurat dla nich ważniejszy niż Najświętszy Sakrament. Powiedzmy sobie tylko tyle, że zawsze istnieją pewne wynaturzenia i to nie jest cecha tylko naszego czy w ogóle katolickiego kultu maryjnego.

Przypomina mi się zawsze taka anegdotka, jak to jakiś pobożny włoski chłop modlił się do jakiejś Matki Boskiej i powiedział Jej, że jeżeli nie spełni jego prośby, to pójdzie do innej Matki Boskiej. Coś takiego może nam czasem grozić też w Polsce. Często wydaje się nam, kiedy myślimy o Maryi, że Ona przez swoje Niepokalane Poczęcie nie może być dla nas żadnym wzorem.

Mam nadzieję, że wszyscy obecni na tej sali wiedzą, co to jest Niepokalane Poczęcie. Miałam kiedyś takie doświadczenie, które mnie zaskoczyło. Rozmawiałam z kimś zdecydowanym, inteligentem całą gębą, gorącym katolikiem, który mi gwałtownie usiłował udowodnić, że to, iż Matka Boska jest Niepokalanie Poczęta, znaczy, że się urodziła bez udziału mężczyzny. Dla mnie było to tragiczne ze względu na to, że tłumaczył mi to ktoś, kto ma duże pojęcie o katolicyzmie. Mało tego, do końca nie jestem pewna, czy tego pana przekonałam, chociaż usiłowałam to zrobić dosyć dokładnie.

Otóż Niepokalanie Poczęta znaczy niewątpliwie inna niż my. Jedno nam może troszeczkę pomóc w zrozumieniu tego, co po polsku w

„Zdrowaś Maryjo” wyrażamy słowami „pełna łaski”. Po grecku (przypominam, że mamy tylko grecki tekst, nie mamy żadnego ani aramejskiego, ani hebrajskiego; zresztą mamy tu do czynienia z Ewangelią św. Łukasza, najbardziej grecką, co nie znaczy, że nie ma tam bardzo wyraźnych podkładek aramejskich). To „Łaski pełna” to jest tłumaczenie imiesłowu greckiegokecharitomene(κεχαριτωμενη) w czasie perfectum. Tylko że greckie perfectum to nie jest czas przeszły i niech państwo się nie dziwią, że sobie pozwalam mówić do państwa o formie gramatycznej języka greckiego, którego państwo nie znają. To jest czas teologiczny. To jest skutek teraźniejszy, trwający w teraźniejszości skutek czynności dokonanej w przeszłości. To jest jeszcze forma strony biernej, czyli właściwie można powiedzieć, że Maryja jest dziełem Łaski Bożej, Ona jest cała dziełem Łaski Bożej. I tego słowa z Pozdrowienia Anielskiego Kościół w pewnym sensie użył za fundament dogmatu o Niepokalanym Poczęciu, który żył bardzo długo w Tradycji kościelnej, zanim został ostatecznie sformułowany jako dogmat. Tak czy inaczej, Maryja jest bez reszty dziełem łaski, nie zna grzechu. Można powiedzieć, że Jezus zna lepiej grzech niż Ona, bo Jezus wziął na siebie grzech świata, jak mówi Ewangelia św. Jana.

Jednak mimo to ludzie pytają, jak mogą za Nią iść. Co Ona może mi powiedzieć o moim własnym życiu? Oczywiście, nie możemy Jej naśladować w Jej czystości, ale Ona nam wskazuje drogę nie tylko przez modlitwę i nie tylko przez opiekę, lecz także przez swoje własne doświadczenie wiary. I tutaj odgrywają swoją rolę słowa Elżbiety „Błogosławiona, któraś uwierzyła”. Najpierw musimy jednak powiedzieć sobie, co znaczy wiara w Piśmie Świętym. Bo nam się zawsze zdaje, że wiara to jest przede wszystkim „ja wierzę, że Bóg jest”. Tymczasem to jest dopiero pierwszy stopień do wiary. I takiego problemu w świecie biblijnym w ogóle nie było, bo dla ludzi tamtych czasów to, że Bóg jest, że są bogowie, że jest jakieś bóstwo, nie ulegało żadnej wątpliwości.

Rzecz ciekawa, że coś z tego jeszcze na Bliskim Wschodzie przetrwało. Byłam w Egipcie co prawda bardzo dawno temu, w 1959 roku, i tam przez pół roku współpracowałam bardzo blisko z ówczesnym dyrektorem Muzeum Aleksandryjskiego. To był Kopt, czyli chrześcijanin, człowiek, który spędził siedem lat w Paryżu, który

w Paryżu zrobił doktorat, w każdym razie znał świat europejski dobrze. Pracowałam bardzo blisko niego, pracowałam w jego gabinecie. Jednej rzeczy on nie znosił, nie znosił dyskusji religijnych. Miał tam jeszcze jednego współpracownika Egipcjanina, Kopta. Ile razy ci dwaj panowie się zjawiali i byłam ja, katoliczka, to zaczynała się dyskusja. Wtedy dyrektor wstawał i wychodził z gabinetu. Zadałam mu kiedyś pytanie, dlaczego nigdy na te tematy nie chce rozmawiać. „Bo ja nic nie wiem". Zapytałam, czy to znaczy, że nie wie, czy Bóg jest, czy Boga nie ma. Jego odpowiedzi nie oddadzą same słowa, lecz trzeba by było słyszeć jej ton. „Bóg jest oczywiście" – ale to było tak powiedziane, jak ja bym, powiedzmy sobie, zapytała kogoś, czy jeśli chmury są na niebie i nie widać słońca, to znaczy, że nie wiadomo, czy słońce jest, czy słońca nie ma. Potem po przyjeździe rozmawiałam z o. Augustynem Jankowskim i opowiedziałam mu to, bo mnie to dziwiło. A on powiedział mi, że na Wschodzie jeszcze coś zostało z takiego przekonania, że jakiś Bóg jest. Tam to jest oczywistość, że jakiś Bóg jest.

Ta sama oczywistość istniała w czasach biblijnych w znacznie silniejszym stopniu niż teraz. To zresztą była oczywistość także i w świecie greckim. Jeśli państwo chcą wiedzieć, kto w świecie grecko-rzymskim był ateistą, to odpowiedź jest prosta: ateiści to byli najpierw Żydzi, a potem chrześcijanie, ponieważ odmawiali kultu wszystkim bogom. To jest po prostu inna mentalność, której my nie rozumiemy, i dlatego, jeżeli w Biblii jest mowa o wierze, to nie jest wiara, że Bóg jest, tylko zawierzenie, bo z tego, że Bóg jest, muszą wynikać daleko sięgające konsekwencje. W naszym świecie bardzo często lepiej rozumieją to ateiści niż ludzie wierzący. Ja się z tym spotkałam dwa razy, raz była to moja młodsza koleżanka, która dawno temu była jeszcze ateistką i członkiem partii komunistycznej. Byłam wtedy w Żarnowcu u benedyktynek w czerwcu i zaraz w lipcu też tam jechałam na śluby wieczyste mojej kuzynki. Właśnie ta moja koleżanka ateistka zadała mi pytanie, dlaczego znowu jadę do Żarnowca. Pamiętam, że się przez chwilę zawahałam, czy jej powiedzieć prawdę. Powiedziałam. Powiedziałam, że jadę na śluby wieczyste mojej kuzynki, a jej reakcja była taka spontaniczna: „A to ja rozumiem". Co ona rozumiała? To, że jeżeli jest Bóg, jeżeli ktoś wierzy, że Bóg jest, to musi Mu się oddać bez reszty.

A z drugiej strony zupełnie analogiczną historię opowiadała mi już nieżyjąca s. Teresa Landy z Lasek, która była Żydówką i wychowana była w rodzinie ateistycznej. Sama była ateistką. To było ważne dla niej przeżycie, bo ona wiele razy mi to opowiadała. Wiele razy do tego wracała. Kiedyś w klasie maturalnej była dyskusja wśród dziewcząt na temat tego, czy Bóg jest, czy Boga nie ma. Ona wtedy powiedziała – przyznawała, że sama nie wiedziała dlaczego – „Jeżeli Bóg jest, to ja idę do klasztoru". I rzeczywiście poszła. Dlaczego? Dlatego, że człowiek, który stoi z boku, który uważa czy wierzy, że Boga nie ma, bo to jest też wiara, to między innymi dlatego nie wierzy, że obserwuje nas, nawet jeżeli my żyjemy zupełnie przyzwoicie.

Rzecz w tym, że wielu ateistów czy ludzi zupełnie obojętnych nie widzi w naszym życiu Boga. I to jest coś bardzo ważnego, żeby pamiętać, co zresztą Leszek Kołakowski w książce Jeśli Boga nie ma mówi wyraźnie, że wiara chrześcijańska ma dwa elementy, element intelektualny – to jest właśnie to, że Bóg jest – i zawierzenie Bogu. Jeśli człowiek, który nie uważa się za chrześcijanina, przynajmniej na pewno nie uważał się za chrześcijanina, kiedy tę książkę pisał, to widział, to dostrzegł, to jest to coś niesłychanie ważnego. Oto na przykład scena burzy na morzu w Ewangelii św. Mateusza (8, 23nn): obudzony Jezus pyta uczniów: „Dlaczego jesteście takimi tchórzami, ludzie małej wiary. Nie wierzycie". Nie to, że oni nie wierzyli w Boga. Jeszcze jedna scena z Mateusza, scena, którą strasznie kocham, dlatego że jest ilustracją tego, co to znaczy wierzyć i jak mamy żyć z Panem Bogiem. To scena, kiedy Jezus po wodzie idzie do swoich uczniów (14, 22nn). Był wczesny ranek i oni byli przerażeni, gdy ujrzeli postać idącą po wodzie. I Piotr zawołał do Jezusa: „Panie, jeśli to Ty jesteś, każ mi przyjść do siebie po wodzie". I Jezus powiedział: „Przyjdź!". I Piotr wyszedł z łodzi, kroczył po wodzie, ale szedł tak długo, dopóki patrzył na Jezusa i myślał tylko o Jezusie. A w momencie kiedy zrobiła się większa fala, silniejszy wiatr, to zastanawiał się: „Ojej, gdzie ja jestem, co ja robię, przecież jestem tylko człowiekiem". I zaczął tonąć. Zdążył jeszcze zawołać: „Panie, ratuj mnie!". Jezus zaś powiedział do niego: „Czemu zwątpiłeś, człowiecze małej wiary?". Nasze życie w pewnych okresach to jest chodzenie po wodzie. Bywa tak, że mamy iść po wodzie, i wiemy, że to jest niemożliwe. I wtedy zostaje nam tylko droga Piotra, to znaczy patrzeć na Jezusa i nie zastanawiać się nad sobą. Nie myśleć

„Przecież ja tego nie zrobię, to jest niemożliwe, to przecież nie dla mnie", bo wtedy na pewno zaczniemy tonąć. Wtedy nam jeszcze pozostaje wołanie do Jezusa.

Miałam sposobność zapoznać się z książkami młodo zmarłego jednego z współczesnych francuskich autorów, Jeana Lafrance. Napisał on, że ludzie się bardzo często oskarżają o różne winy, o jakąś małoduszność, jakąś nieumiejętność zdobycia się na ofiarę, a w gruncie rzeczy wszystkim brak jednego, tego ślepego zawierzenia. I dlatego tak ważne są słowa Elżbiety skierowane do Maryi – „Błogosławiona, któraś uwierzyła".

Powiedzą mi państwo, że Jej było łatwo wierzyć, bo zszedł do Niej anioł. Oczywiście, Maryja przeżyła zwiastowanie, ale jak wyglądało dokładnie to zwiastowanie, tego nikt z nas nie wie, bo św. Łukasz zrobił z Ewangelii dzieciństwa wielki wstęp do swej Ewangelii, a w słowach, które anioł skierował do Maryi, Łukasz zawarł wszystko, co chciał powiedzieć, co już wiedział o Jezusie Synu Bożym. Ale Zwiastowanie było, a Maryja powiedziała „Tak". Pamiętam, że w młodości sama się nad tym zastanawiałam, któraż kobieta by się na to nie zgodziła. Jednak to nie było takie proste. Anioł powiedział Jej, że zostanie matką bez udziału mężczyzny, czyli będzie matką nieślubnego dziecka. Powiedzmy sobie, że i dzisiaj to też nie jest takie proste, sto lat temu było znacznie trudniejsze, a w tamtych czasach, w tamtym świecie mąż mógł ją skazać na śmierć przez ukamienowanie. Być może mogła liczyć na dobroć Józefa, ale to wszystko dywagacje. Gdyby Józef nie przyjął Jezusa, gdyby Go nie usynowił... Dla nas syn adoptowany i syn rodzony to są dwie różne rzeczy, w tamtym świecie było to zupełnie to samo, nie było żadnej różnicy. W tamtym świecie matka niemająca męża czy odepchnięta przez męża oraz jej dziecko znajdowali się poza nawiasem społeczeństwa, byli gorzej niż trędowaci. Maryja nie wiedziała, jak to będzie, ale wyraziła zgodę, powiedziała coś, co jest niestety zniekształcone w tradycyjnym polskim przekładzie. Maryja nie mówi: „Oto ja służebnica Pańska" , lecz „Oto służebnica Pańska". Tu w ogóle Ona jako „ja" się nie liczy. W Wulgacie tego nie ma, jest Ecce ancilla domini. I nie ma tego „ja" także w tekście greckim. Tu Ona w ogóle nie jest ważna, „Oto służebnica Pańska". To był ogromny akt wiary.

To było właśnie to, co powiedziała Elżbieta: „Błogosławiona, któraś uwierzyła”.

I jest pytanie, co dalej. W naszych przekładach jest: „Błogosławiona, któraś uwierzyła, że spełnią się słowa powiedziane od Pana” (Łk 1, 45). I może tak mogło być. Ale cała rzecz w tym, że tu jest małe greckie słówko οτι (choti), które może znaczyć zarówno „że”, jak i „ponieważ”. Nie mamy sposobu stwierdzenia, jak to było w oryginalnym tekście. Mam przed sobą Nowy Testament po grecku, wydanie ekumeniczne. Tutaj wydawcy zaznaczają, oni po prostu przyjmują taki schemat, że jak stawiają przed słówkiem choti przecinek, to jest „ponieważ”, jak nie stawiają przecinka, to jest „że”. I oni tu przecinka nie stawiają, czyli przyjmują wersję: „Błogosławiona, któraś uwierzyła, że spełni Ci się wszystko”. Ale w starożytnym tekście i średniowiecznym nie ma jeszcze przecinków. I to może znaczyć zarówno „że”, jak i „ponieważ”. I na przykład w Biblii Jerozolimskiej jest przetłumaczone „że”, ale w przypisie dodane, że może być tam „ponieważ”. Co znaczy to „ponieważ”? To znaczy: „Błogosławiona, któraś uwierzyła, bo dlatego że uwierzyłaś, to ci się spełni wszystko, co zostało powiedziane”. I tu jest też nauka dla nas, bo gdyby doszło do tego, że przetłumaczę Ewangelię św. Łukasza, to przyjmę tę wersję. Dla mnie to jest wersja istotna, „bo dlatego że uwierzyłaś, to spełni ci się wszystko, co ci zostało powiedziane”. To jest wezwanie dla nas. Przypomnijmy sobie, że Jezus oczekiwał zawsze wiary, żeby mógł zrobić cud. Jeżeli nie znajdował wiary, to nie mógł zrobić cudu. Cud to nie jest coś, co Bóg robi niezależnie od nas, po prostu bez zawierzenia nie może być cudu.

Być może ktoś z państwa pamięta książkę Bruce’a Marshalla Cud ojca Malachiasza. Jest to kapitalna historia mnicha benedyktyńskiego, który postanawia dowieść światu, że Bóg też dzisiaj czyni cuda. I czyni cud, przenosi budynek ze środka Edynburga, z protestanckiej Szkocji. Przenosi budynek na skałę gdzieś na wybrzeżu brytyjskim. Jak to się kończy? Kończy się w ten sposób, że dostaje polecenie od papieża, by przenieść z powrotem ten budynek. Dlaczego? Dlatego że ten cud przyniósł więcej szkody niż pożytku. Tam jest kapitalna scena, kiedy na miejscu tego budynku, na placu, gdzie ten budynek stał, doszło do sensacji, wszyscy

przychodzili to oglądać i spotkały się takie dwie panie. I jedna mówi do drugiej: „Moja kochana, ci katolicy nie mają racji, a choćby nawet dowiedli, że mają rację, to i tak nie mają racji”.

Dlaczego to opowiadam? Żeby pokazać, iż nawet oczywisty cud bez wiary nic nie znaczy, to znaczy człowiek niewierzący go nie odczyta. Wiedzą państwo, że w Lourdes działa komisja lekarska, która bada wszystkie wypadki uzdrowienia. I tylko te, które ci lekarze przy obecnym stanie medycyny uznają za niewytłumaczalne, zostają przekazane do komisji kościelnej, która dopiero z tych przypadków wybiera te, które może uznać za cud. Do komisji lekarskiej Kościół specjalnie chętnie zaprasza lekarzy niewierzących, chodzi o to, żeby nie było żadnych tendencji, życzenia, by jakieś uzdrowienie uznać za cud. I podobno był taki przypadek, kiedy dziecko niemające siatkówek w oczach odzyskało wzrok. Na to jeden z lekarzy, właśnie tych niewierzących, powiedział: „Najwyraźniej źle mnie uczono medycyny, bo uczono mnie, że bez siatkówki nie można widzieć”. Okazuje się, że zawsze do tego, aby zobaczyć cud, trzeba najpierw wierzyć. To nie jest tak, że cuda nas przekonują do wiary, tylko wiara musi w nas już istnieć przynajmniej w jakimś zalążku. My sobie nawet sami możemy nie zdawać sprawy z tego, że ona już jest, ale musi być jakieś otwarcie. Gdyby Maryja nie uwierzyła, nie zawierzyła Bogu, to... nie ma sensu mówić, co by było gdyby. To nigdy nie ma sensu, ani w historii, ani tym bardziej w teologii czy w biblistyce. Ta Jej wiara była potrzebna do tego, żeby Bóg stał się człowiekiem, i tak samo w naszym życiu nasza wiara, nasze zawierzenie w jakiejś sytuacji krańcowej jest potrzebne Bogu, bo bez tej wiary nie może z nami nic zrobić.

Wracając jeszcze do Maryi, to nie był koniec, to był dopiero początek Jej drogi. Bóg, tak jak zresztą robi i z nami, tyle że z nami ma więcej kłopotu niż z Nią, z zasady podnosi coraz wyżej poprzeczkę, tak jak podnosi się poprzeczkę przy skoku wzwyż. Tak było i z Maryją, potem przyszło Betlejem, przyszły narodziny. Maryja wtedy nie wiedziała, kim jest Jej Syn, wiedziała, że jest Mesjaszem, ale nic więcej. Potem wizyta w Świątyni i słowa Symeona, że Jej Syn stanie się znakiem sprzeciwu, znakiem, któremu sprzeciwiać się będą, a Jej duszę przeniknie miecz (por. Łk 2, 33–35). Ona tego nie rozumiała. I wreszcie słowa w Świątyni 12-letniego Jezusa, które

bardzo trudno tłumaczyć. Oto Maryja przychodzi z Józefem zdenerwowana, bo szukali Go przez trzy dni. Gdy Go znajdują, gdy Go zobaczyli, to – jak mamy w tekście oryginalnym – się przerazili. To jest więcej niż zdumienie, oni byli przerażeni, że ich Syn zostawił ich, nie pomyślał o nich. Jego Matka powiedziała do Niego: „Synu, czemuś nam to uczynił? Oto ojciec Twój i ja z bólem serca szukaliśmy Ciebie". „Twój ojciec i ja". Bo przecież Józef jest ojcem Jezusa wobec całego świata i właściwie dla Maryi. Maryja wie, że on nie jest ojcem, ale z punktu widzenia prawa on jest ojcem. I odpowiedział im: „Czemuście Mnie szukali? Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?" (por. Łk 2, 41–50). Można powiedzieć, „w sprawach Ojca mego". Proszę zwrócić uwagę, to jest odrzucenie. Maryja mówi: „Twój ojciec i ja", a Jezus mówi „Ojciec mój". Przeciwstawia tego Ojca Józefowi. To nie było łatwe, bo to mówi nam nawet ewangelista. Oni nie zrozumieli tego słowa, które im powiedział, mimo całej ich wiedzy o Jezusie. I tutaj Maryja musi znowu sięgnąć niejako ponad siebie, zawierzyć, chociaż nie rozumie...

My zaś zawsze chcemy wszystko rozumieć... Nawet jeżeli Bóg stawia nam jakieś trudne wymagania, ale rozumiemy, o co chodzi, to się na to zgadzamy znacznie łatwiej. Tak też jest w życiu zakonnym. Jeżeli przełożona czy przełożony wydaje jakieś polecenie, które jest bardzo trudne, a może nawet bardzo bolesne, ale zakonnik rozumie jego sens, to jest mu je znacznie łatwiej przyjąć. Tyle że cała rzecz polega na tym, że w tym momencie w gruncie rzeczy to nie my się dostosowujemy do woli Boga, lecz spełniamy własną wolę. To tak jak z dentystą: nie chcę iść do dentysty, mnie się nie chce iść do dentysty, ale idę, bo wiem, jaki to ma sens. I to jest moja wola, która mi każe iść do dentysty. Wtedy, kiedy Pan Bóg chce tego, czego ja naprawdę chcę, czego mnie się chce, to jest znacznie łatwiej. Natomiast nieporównanie trudniej jest wtedy, kiedy Bóg chce ode mnie czegoś, czego sensu nie widzę.

Tak samo jest z posłuszeństwem zakonnym. Mogę tutaj zdradzić jedną rzecz, która nie jest żadną tajemnicą zresztą. Mam za sobą rok klauzury, to była moja wola, decyzja z 1961 roku. Ale to był ślub warunkowy, ponieważ miałam matkę, której nie mogłam zostawić, i mogłam ten ślub spełnić dopiero po jej śmierci. A umarła w 1976

roku, czyli 15 lat później. Wstąpiłam do klasztoru w Żarnowcu w 1978 roku i opuściłam Żarnowiec rok później. Odeszłam na zasadzie decyzji mojej przełożonej, mojej mistrzyni. Obecna ksieni żarnowiecka, matka Jolanta, doszła do wniosku, że nie mam powołania. Czyli, innymi słowy, Bóg chciał, żebym wróciła do świata. W klasztorze jest o tyle łatwiej, że jeżeli decyduje przełożony, to nawet jeżeli przełożony by się po ludzku mylił, to jest to wola Boża. I to wiedziałam. Tylko nie bardzo mogłam zrozumieć, jak właściwie jest, że Bóg chciał, żebym poszła do klasztoru, i chciał, żebym z niego wyszła. Ale teraz już wiem, choć może nie wiem wszystkiego, na pewno nie wiem wszystkiego, ale Bóg mnie przygotowywał do tego, co teraz robię. To znaczy przez całe moje życie przygotowywał mnie. Gdybym została w Żarnowcu, to bym dzisiaj się tu z państwem nie spotkała. Jedna z przyjaciółek określiła to już parę lat temu: „Już wiem, dlaczego Pan Bóg cię wykopał z Żarnowca". Ale to było coś zupełnie niezrozumiałego w tamtym czasie.

Maryja miała potem takie spotkania z Jezusem, kiedy to Jezus odszedł. Z tym się stosunkowo łatwo pogodziła, bo to było ludzkie, to było normalne. Czytamy u św. Marka (3, 31–35): „Tymczasem nadeszła Jego Matka i bracia i stojąc na dworze, posłali po Niego, aby Go przywołać. A tłum ludzi siedział wokół Niego, gdy Mu powiedzieli: «Oto Twoja Matka i bracia na dworze szukają Ciebie». Odpowiedział im: «Któż jest moją matką i którzy są moimi braćmi?». I spoglądając na siedzących dokoła Niego, rzekł: «Oto moja matka i moi bracia. Bo kto pełni wolę Bożą, ten jest Mi bratem, siostrą i matką»" (u Łukasza będzie to powiedziane troszeczkę inaczej: „Moją matką i moimi braćmi są ci, którzy słuchają słowa Bożego i wypełniają je" [8, 21]).

My sobie tłumaczymy, że Maryja słuchała słowa Bożego, tak zresztą Łukasz Ją określał, ale przecież Jezus odsuwał Ją na drugi plan w czasie swojej publicznej działalności. Dlatego musiała jakby przeskoczyć siebie. A potem był krzyż. Nie wiem, czy ktoś z państwa widział słaby w sumie film Maria z Nazaretu, przypominający troszkę ilustracje do Biblii dla dzieci. Jest tam jednak scena, która mnie się bardzo spodobała: scena Ostatniej Wieczerzy, choć zrobiona okropnie, bo ci biedni Apostołowie musieli siedzieć pod ścianami, podczas gdy w rzeczywistości leżeli, to jednak wiernie oddaje to, że kobiety były na zewnątrz i tylko zaglądały od czasu do czasu. I przede

wszystkim twarz Maryi w momencie, kiedy Jezus dzielił chleb i podawał wino. Twarz Maryi, która rozumiała, co Jezus robi, to był jedyny komentarz do tego gestu. To było świetnie zagrane, to był zresztą doskonały pomysł, żeby to tak zrobić, bo Ona przecież na pewno była tam wśród tych kobiet i nie rozumiała do końca; rozumiała tylko, że Jezus wydaje się na śmierć. To rozumiała.

A potem już po wszystkim, po Zmartwychwstaniu nie słyszymy o spotkaniu Jezusa z Maryją, nie wiemy, czy było im potrzebne, czy to było Maryi potrzebne, ale lubimy sobie wyobrazić, że jednak Jezus do Niej przyszedł w sposób widzialny. Potem były jeszcze lata coraz większej tęsknoty, musiała sobie zadawać pytanie, dlaczego jeszcze ma zostać. Może nie pytała dlaczego, bo Ona właśnie nie pytała, ale nie wiedziała. I to jest właśnie to, czego Maryja może nas nauczyć swoim własnym życiem, tego właśnie zawierzenia. Zawierzenia do końca, tego sięgania ponad siebie, tego godzenia się z tym, że Bóg nam stawia coraz wyżej poprzeczkę. I do tego się wszystko sprowadza.

Jeszcze jedno, otóż scena w Kanie Galilejskiej. To, co Jezus Jej powiedział, to nie jest delikatne powiedzenie. Po grecku brzmi to źle, źle to brzmi po polsku, bo to jest odpowiednik aramejskiego zwrotu, który oznacza; „No, zostaw tę sprawę, nie zajmuj się tą sprawą". Ona jednak się nią zajmuje. I tu przygotowuje działanie Jezusa. I tu mamy odpowiedź, co mamy robić, kiedy nasza modlitwa wydaje się niewysłuchana, kiedy Bóg nas jak gdyby odpycha. Właśnie przygotować Mu drogę i zawierzyć Mu. Dlatego „Błogosławiona, któraś uwierzyła, bo właśnie dlatego spełni się wszystko, co zostało powiedziane". I to jest zdanie, które dotyczy wszystkich nas.

Proszono mnie, żeby państwu podać jakiś tekst, który ma służyć do rozmyślania biblijnego. Ze swej strony powiedziałabym, że każdy musi sobie znaleźć własny tekst i własny sposób, bo to rozmyślanie dla jednych będzie takim intelektualnym namysłem, a dla innych będzie po prostu byciem z Nim czy z Nią. Jakimś dobrym wyjściem będą któreś ze słów już tu przedstawionych. Dla mnie takimi kluczowymi słowami są te, od których zaczęłam: „Błogosławiona, któraś uwierzyła", ale równie dobrze mogą to być słowa „wielkie rzeczy uczynił mi Pan i święte imię Jego, wielkie rzeczy uczynił każdej i każdemu z nas". Warto te słowa rozważyć, spoglądając

wstecz na nasze życie, zobaczyć, jak Bóg nam się objawiał w życiu. Chcę tu powiedzieć jedno, że jeżeli ktoś z nas ma wspomnienia własnych win, własnego grzechu, to pamiętajmy o tym, że to jest wspomnienie przede wszystkim Jego miłosierdzia, bo On nas kocha mimo naszych grzechów, a nasze winy, nasze słabości są szczelinami w naszym „ja". Tutaj nasuwa mi się wspomnienie, obraz, którym może zakończę właśnie.

Jeżeli chodzi o naszą przeszłość, która może być niedobra z naszego punktu widzenia, to inaczej wygląda z Bożego punktu widzenia. Gdzieś trafiłam kiedyś na wspomnienie jakiegoś księdza. Mówił, że był na spotkaniu jakiejś grupy modlitewnej i tam świadectwo składała jakaś młoda kobieta, która mówiła o sobie, że kiedy zaczynała dorastać, to się zorientowała, że jest strasznie brzydka, i doszła do wniosku, że żaden mężczyzna nie potrafi jej pokochać dla niej samej. I obraziła się na Pana Boga z tego powodu. Obraziła się na Pana Boga i, jak to mówią, zeszła na złą drogę. A w końcu zetknęła się z grupą modlitewną, przeszła nawrócenie i strasznie jej przeszkadzała ta przeszłość, strasznie nad tym bolała. I kiedyś jej się przyśniło, zobaczyła siebie we śnie jako garnek, który został potłuczony i został zlepiony. Ten garnek był brzydki, bo były szramy tego lepienia. I w pewnym momencie ktoś w tym garnku zapalił światło, a wtedy te wszystkie szramy stały się wielkim świetlistym wzorem. Kobieta wtedy zrozumiała, że to, co ona pamięta jako swój grzech, jako swoją winę, to jest wspaniałość Miłosierdzia Bożego. I ksiądz, który o tym pisał, stwierdza, że w momencie, kiedy ona o tym mówiła, była piękna.

Proszę państwa, cała nasza przeszłość, jakakolwiek by była, jest jednym pasmem Jego Miłosierdzia. Jest taki wspaniały psalm, który po łacinie brzmi: Misericordias Domini in aeternumcantabo– Będę wyśpiewywać na wieki Miłosierdzie Pana, ale to jest po łacinie miłosierdzie w liczbie mnogiej, to znaczy te wszystkie okazje, kiedy Pan mi okazywał swoje miłosierdzie.

I jeszcze jedno na końcu, wykład, spotkanie czy konferencja zależy nie tylko od tego, kto je prowadzi, ale od słuchaczy też. To jest bardzo ważne, bo do tego, żeby wyszło naprawdę dobrze, trzeba współpracy, trzeba wspólnoty. Bo wtedy, gdy się spotykamy w imię Jego, On jest między nami. I wiedzą państwo, kto jest przede wszystkim? Duch Święty. Jeżeli to, co mówię, trafia w jakiś sposób do państwa, to jest

to właśnie działanie Tego nieuchwytnego, Tego, którego nie umiemy przedstawić, o którym mówimy, że Go nie widzimy, a my Go rzeczywiście nie widzimy, ale Nim żyjemy. W Nim żyjemy i w Nim jesteśmy.

Dziękuję.

Czym nie są Ewangelie, a czym są?

Teraz chciałabym porozmawiać z państwem o Ewangeliach. To jest temat, zdawałoby się, znany, bo jeżeli ktoś z chrześcijan nawet nie zna Pisma Świętego, to w każdym razie uważa, że Ewangelie zna. Jak ta znajomość wygląda, to miałam sposobność przekonać się. Spotkałam młodą dziewczynę po maturze, którą miałam poduczyć w wymiarze religijnym, bo wprawdzie była u Pierwszej Komunii, ale potem nie chodziła na religię w ogóle. Skończyło się na tym, że miała mieć u mnie dziesięć rozmów. Powiedziałam jej, żeby sobie przeczytała całą Ewangelię św. Marka i zastanowiła się, czego nie rozumie, i zapytała mnie na następnym spotkaniu. A na następnym spotkaniu taka rozmowa:

– Przeczytałaś?
– Przeczytałam.
– No i masz jakieś pytania?
– Nie mam żadnych.
– To znaczy, że wszystko rozumiesz?
– Wszystko.

No to otworzyłam na chybił trafił, przeczytałam jej kawałek i zapytałam się:

– A co to znaczy?
– A nie wiem.

Widzą państwo, z Ewangeliami istnieje takie właśnie niebezpieczeństwo, że po nas, którzy chodzimy do kościoła i często słyszymy Ewangelię, często ich słowa spływają jak woda po kaczce. Właściwie naprawdę nie słuchamy, nie zastanawiamy się. Zacznijmy może od tego, że nie wiemy tak naprawdę, co to znaczy Ewangelia. Jeżeli chodzi o samo słowo, to może pierwsza rzecz jest taka, że mówimy potocznie Ewangelia św. Mateusza, św. Marka, św. Łukasza, św. Jana, ale niech państwo zwrócą uwagę, że prawdziwy tytuł Ewangelii to nie jest Ewangelia św. Mateusza, jak na przykład Trylogia Sienkiewicza, tylko jest Ewangelia według św. Mateusza,

według św. Marka, według św. Łukasza, według św. Jana. Już ta tradycyjna, bardzo stara forma tytułu powinna nam zwrócić uwagę, że nie autor jest tutaj najważniejszy, co więcej, że to właściwie nie jest autor, bo to jest tylko jedna Ewangelia „według".

Teraz nasuwa się tutaj pytanie, czym jest Ewangelia. Żeby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba określić, co to za gatunek literacki. Proszę państwa, ja sobie zdaję sprawę, że nie wszyscy tutaj obecni mają wykształcenie humanistyczno-filologiczne i że dla nas gatunek literacki może być nieokreślonym pojęciem. Spróbuję to pokazać na karykaturalnym przykładzie, bo karykatura wychodzi nam zawsze najlepiej. Wyobraźmy sobie, że ma ugotować obiad ktoś, kto nie umie gotować. Wobec tego szuka jakichś wskazówek, jakiegoś podręcznika i natrafia na podręcznik geometrii. Jeżeliby próbował gotować obiad na podstawie podręcznika geometrii, może z tego nic nie wyjdzie, ale jeszcze gorzej by wyszło, gdybyśmy chcieli uczyć się geometrii z książki kucharskiej. To o tym właśnie decyduje gatunek literacki.

Odnosząc się natomiast do Pisma Świętego, pamiętajmy, że przez całe wieki ludzie zastanawiali się, czy wielka ryba może połknąć człowieka. Czy ten człowiek po trzech dniach może z tej wielkiej ryby wyjść żywy i zdrowy? Bośmy pomylili gatunki literackie, bo nam się zdawało, że jest to opowiadanie historyczne o proroku. Tymczasem chociaż był taki prorok, który się nazywał Jonasz, to ten prorok żył w VIII wieku przed Chrystusem, a cała historia napisana została w wieku IV przed Chrystusem i w ogóle to nie jest ani księga proroka, ani księga historyczna, tylko takie opowiadanie pouczające, w rodzaju podobnym trochę do przypowieści ewangelicznych, gdzie autor chce, po pierwsze, powiedzieć swoim czytelnikom, że przed Bogiem uciec się nie da, a po drugie, i to jest znacznie ważniejsze, bo to cel tej książki, że Bóg troszczy się również o pogan, i to takich bardzo okrutnych pogan, jakimi byli Asyryjczycy, nazwani Niniwitami. Chce też pokazać, że nie można zrobić tak jak Jonasz, który wie, że Bóg jest łaskawy. Przy końcu księgi Jonasz mówi: „Wiem, że Ty jesteś Bogiem łagodnym i miłosiernym, nieskorym do gniewu i bogatym w łaskę, litującym się nad niedolą" (Jon 4, 3). Jonasz uciekał, bo nie chciał pozwolić Bogu, żeby okazał się miłosierny i łaskawy także dla Niniwitów. Taka jest nauka tej księgi, ale trzeba zrozumieć, o jaki gatunek literacki chodzi.

I coś podobnego jest z Ewangeliami. Na początek łatwiej nam będzie powiedzieć, czym Ewangelie nie są. Ewangelie nie są sprawozdaniem dziennikarskim z wydarzeń, które miały miejsce. Nie są monografią historyczną, nie są biografią Jezusa. Znacznie trudniej będzie nam powiedzieć, czym naprawdę są, ale to jest ważne właśnie z tego powodu, że plączemy się w gatunku literackim. Po prostu, mówiąc inaczej, zapominamy, po co ewangeliści pisali. Bo to ostatecznie sprowadza się do celu, w jakim autor pisze. To określa gatunek literacki, a to, dla kogo pisze, to druga ważna rzecz. Otóż dlatego, żeśmy o tym zapominali, powstawały najróżniejsze nieporozumienia, czy nawet pewnego rodzaju zgorszenia, bo istnieją sprzeczności między Ewangeliami. Na przykład bardzo jaskrawa nieścisłość dotyczy historii ze ślepcem pod Jerychem. Pytanie, gdzie i kiedy Jezus spotkał tego ślepca? Według św. Łukasza – gdy wchodził do Jerycha, według św. Marka – kiedy wychodził z Jerycha. Natomiast u św. Mateusza jest dwóch ślepców pod Jerychem, tylko już nie pamiętam, czy przy wejściu, czy przy wyjściu. Dzisiejszy historyk powiedziałby sobie, że trzeba uzgodnić historię, trzeba zbadać w źródłach, jak to naprawdę było. Państwo powiedzą: „No dobrze, a Duch Święty?". Cała rzecz polega na tym, że Ducha Świętego to nie obchodziło, czy ten ślepiec był przed Jerychem, czy za Jerychem. Natomiast obchodziło Go samo wydarzenie, sam cel wydarzenia.

A teraz zacznijmy od samego słowa „ewangelia". Z pewnością państwo wiedzą, że samo słowo pochodzi z języka greckiego (εὐαγγέλιον, euangelion)i jest rodzaju nijakiego. Pierwotnie, już w VIII wieku przed Chrystusem, oznaczało nagrodę, jaką dostaje ten, kto przynosi dobrą nowinę. Potem zaczęło oznaczać samą dobrą nowinę, dobrą wiadomość. I w takim znaczeniu pojawia się to słowo bardzo często w przekładzie Biblii hebrajskiej na grekę, w Septuagincie, która powstawała w III i II wieku przed Chrystusem. Ale tam jeszcze częściej występuje czasownik utworzony od tego rzeczownika (euaggelizein), który znaczy „głosić dobrą nowinę", i to przede wszystkim dobrą nowinę o zbawieniu. Już nabierają rzeczownik i czasownik znaczenia religijnego, a w czasach Jezusa słowo to występowało także w pogańskich tekstach sakralnych, gdzie znaczyło właśnie jakąś religijną dobrą nowinę.

A teraz, proszę państwa, żeby powiedzieć, czym Ewangelie są naprawdę, najlepiej będzie, jeżeli się przyjrzymy temu, jak powstawały. My, to znaczy ludzie, którzy nie są historykami i filologami, którzy nie zajmują się światem pogańskim tak jak ja, mamy czasem wrażenie, że jakbyśmy dzisiaj przeżyli spotkanie z Jezusem, to prawdopodobnie chcielibyśmy jak najprędzej utrwalić to spotkanie. Gdybyśmy z naszą mentalnością żyli w czasach Jezusa, to być może jeszcze za Jego życia sporządzilibyśmy jakieś notatki, nagrali coś na taśmę, zrobili filmy. Tymczasem inaczej było z uczniami Jezusa, którzy żyli w świecie żydowskim Bliskiego Wschodu. Nawet w świecie greckim, który wyglądał już troszeczkę inaczej, nie byłoby tego, że natychmiast należałoby to spisać. Tam była bardzo żywa tradycja ustna i to jest najważniejsze, do tego wrócę. Trzeba jednak zacząć przede wszystkim od tego, że pierwsi chrześcijanie, uczniowie Jezusa, byli głęboko przekonani, że Jezus zaraz wróci, o czym łatwo przekonać się, czytając Pierwszy List do Tesaloniczan św. Pawła, list, który jest prawdopodobnie najstarszym pismem Nowego Testamentu, bo powstał około 51 roku. Widać tam, że Paweł jest zupełnie pewny, iż doczeka powtórnego przyjścia Jezusa. Nie tylko on, oczywiście, ale on także. Po drugie, mieli między sobą świadków naocznych i pisanie nie wydawało się konieczne. I wreszcie to, co jest najważniejsze i od czego zaczęłam: oni żyli w świecie tradycji ustnej.

Rabini, kiedy uczyli swoich uczniów, gromadzili ich wokół siebie i powtarzali im pewne formuły, które miały taką konstrukcję, że łatwo zapadały w pamięć. Odnajdujemy ślad takich sformułowań także w Ewangeliach, chociaż mamy tu przecież tekst grecki, który jest jednak przekładem. Najbardziej charakterystyczne, przynajmniej dla mnie, są słowa Jezusa o domu zbudowanym na skale i zbudowanym na piasku. To takie wyraźne dwie jakby strofy, które są tak zbudowane, żeby je łatwo było zapamiętać. My jednak żywimy taki XX-wieczny przesąd, że tradycja ustna jest mniej pewna niż to, co jest napisane.

Proszę państwa, jestem filologiem klasycznym, filologia jako nauka, jeszcze bez przymiotnika klasyczna, narodziła się w Aleksandrii w III wieku przed Chrystusem. A narodziła się właśnie po to, żeby ustalać teksty pisane, to znaczy, żeby poprawiać błędy, które powstawały przy przepisywaniu rękopisów. Właściwym zadaniem filologii jest właśnie ustalanie tekstu, jak ten tekst ma wyglądać, bo

tekst przepisywany czy przedrukowywany strasznie szybko się psuje. Proszę państwa, robimy błędy, przepisując jakiś tekst, i to błędy zupełnie śmieszne. Kiedyś pewien autor dał mi do ręki korektę. Autor, świetny biblista, ale nie o. Augustyn [Jankowski]. I ten bardzo mądry człowiek dał mi do ręki korektę, wydruk swojego artykułu, który był już po ostatniej korekcie. I patrzę, a tam na pierwszej stronie jest napisane, że św. Piotr nawrócił się pod Damaszkiem. Skąd ten błąd powstał? To łatwo zrozumieć, po prostu maszynistka zobaczyła tylko literę P i zrobiła z tego Piotra, choć to był oczywiście Paweł. A znana jest rzecz, że dobre maszynistki nie czytają tekstu, bo wtedy robią więcej błędów. Dziwne tylko, że to przeszło przez wszystkie korekty, zarówno przez korektę wydawnictwa, jak i przez korektę samego autora. Zrobiła się panika, jak ja to znalazłam, bo nie było pewne, czy to można jeszcze poprawić, ale udało się. Sama zresztą kiedyś, tłumacząc Dzieje Grecji Hammonda, zrobiłam błędy. Jak wydajemy książkę, robimy korekty, to ileż błędów poprawiamy...

Tradycja ustna może była pewniejsza, ale to nie znaczy, że tam nie było błędów. Powstawały akurat takie same błędy jak przy przepisywaniu. Jak wygląda tradycja ustna, żywa, możemy mieć jeszcze dzisiaj pojęcie, gdy będziemy obserwować dzieci, ale bardzo małe dzieci. Takie dzieci, które jeszcze nie czytają, którym się opowiada różne bajki, różne baśnie. Jeżeli jest jakaś ukochana opowieść, to dziecko chce, żeby w kółko opowiadać, aż w końcu ciocia czy mama się zdenerwuje i spróbuje trochę zmienić, urozmaicić. I wtedy ten mały słuchacz powie, że to nie tak było. Więc to jest właśnie to, co cechuje tradycję ustną. Powiem państwu, że Platon w pierwszej połowie IV wieku bardzo się martwił, że tak się rozprzestrzenia książka, że jest tyle książek, bo ludzie przestaną myśleć, tylko będą czytać. Trochę miał rację, ale nie w całości.

Proszę państwa, powstaje pytanie, co to znaczy ewangelia w kontekście tradycji ustnej. Ci, którzy coś wiedzą, powiedzą, że są cztery Ewangelie, że jest to tytuł ksiąg, które zaczynają Nowy Testament. Tylko że to jest tylko jedno ze znaczeń. I tutaj nam bardzo dużo daje pierwsze zdanie Ewangelii według św. Marka, to jest zresztą prawdopodobnie Ewangelia najstarsza. Zaczyna się od zdania „Początek Ewangelii Jezusa Chrystusa, Syna Bożego". To nie jest zły przekład, tylko ogranicza on znaczenie tego zdania do dwóch

ostatnich znaczeń, bo naprawdę Ewangelia jest przede wszystkim tym, co Jezus sam głosił. Przecież właśnie w pierwszym rozdziale św. Marka zaraz potem jest mowa o tym, jak Jezus wraca do Galilei i woła „Czas się wypełnił i bliskie jest Królestwo Boże. Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię!" (w. 15). Nie ma jeszcze żadnej napisanej Ewangelii. Ewangelia to jest właśnie ta dobra nowina, że Królestwo Boże jest blisko. Potem można powiedzieć, że sam Jezus jest tym Królestwem Bożym i, w tym sensie, że On sam jest tą dobrą nowiną, Ewangelią. Wreszcie po Jego śmierci i zmartwychwstaniu uczniowie opowiadają o Nim i o Królestwie Bożym. Wtedy oni mówią o Jezusie Chrystusie, a w końcu, kiedy św. Marek napisał to zdanie „Początek Ewangelii Jezusa Chrystusa, Syna Bożego", to na pewno sam nie wiedział, że stwarza w ten sposób gatunek literacki, który będzie się nazywał ewangelią. To jest odrębny gatunek literacki i na to, żeby zrozumieć, o co w nim chodzi, trzeba by się mu przyjrzeć. Ale zaraz po zmartwychwstaniu uczniowie nic nie pisali, tylko mówili.

Muszę państwu powiedzieć, że jeżeli chodzi o powstanie Ewangelii, to przedstawię datowanie przyjęte przez ogromną większość biblistów, ale jest mniejszość, która gwałtownie stara się przesunąć to datowanie Ewangelii na okres jak najbliższy samemu Jezusowi, co według jednego z wielkich francuskich biblistów jest próbą zaprzeczenia Tradycji, tej Tradycji przekazywanej ustnie. Zobaczą zresztą państwo za chwilę, że pozostaje to może nie w sprzeczności, ale nie zgadza się z tym, co mówi sam św. Paweł.

Bez względu na datowanie poszczególnych Ewangelii rozróżniamy trzy etapy ich kształtowania się. Zarówno Ewangelii, jak i w gruncie rzeczy całego Nowego Testamentu. Pierwszy okres to było samo życie Jezusa, który głosił tę Dobrą Nowinę. Później był okres po Jego śmierci, kiedy gminy chrześcijańskie żyły tą Ewangelią. Okres ten trwał od roku 30 (najprawdopodobniej Jezus umarł 7 kwietnia 30 roku) do mniej więcej roku 70. Wówczas zaczyna się okres ostatni, redakcji naszych Ewangelii.

Do okresu drugiego należą listy św. Pawła, które według wszelkiego prawdopodobieństwa są najstarszą częścią Nowego Testamentu, zwłaszcza wielkie listy do Tesaloniczan, Koryntian, Galatów i Rzymian. Otóż w listach św. Pawła bardzo często powtarza się słowo „ewangelia", chociaż w czasie kiedy Apostoł te listy pisał, nie było jeszcze żadnych z naszych Ewangelii. Przeczytam państwu

bardzo charakterystyczny fragment z Pierwszego Listu do Tesaloniczan (1 Tes 2, 1-3; 8. 9), żeby zwrócić uwagę na częstość powtarzania się tego słowa: „Sami bowiem wiecie, bracia, że nasze przyjście do was nie okazało się daremne. Chociaż ucierpieliśmy i – jak wiecie – doznaliśmy zniewagi w Filippi, odważyliśmy się w Bogu naszym głosić wam Ewangelię Bożą pośród wielkiego utrapienia. (...) Będąc tak pełni życzliwości dla was, chcieliśmy wam dać nie tylko Bożą Ewangelię, lecz nadto dusze nasze. (...) Pracowaliśmy dniem i nocą, aby nikomu z was nie być ciężarem. Tak to wśród was głosiliśmy Ewangelię Bożą".

Co to znaczy? Muszę przyznać, że miałam nawet ochotę zatytułować tę konferencję „Ewangelia św. Pawła", bowiem Paweł pomaga nam zrozumieć, co to znaczy Ewangelia, czego mamy szukać w tym gatunku literackim. Otóż jest taki bardzo ważny tekst z Pierwszego Listu do Koryntian (15, 1–5). Fragment ten jest tak istotny, bo jest to najstarsze wyznanie wiary chrześcijańskiej, jakie się nam zachowało. W tekście tym pojawiają się dwa słowa będące terminami technicznymi w szkołach rabinackich: „przekazać" i „przejąć". Rabini żydowscy przekazywali uczniom wiedzę, uczniowie ją przejmowali. Pamiętajmy, że św. Paweł był faryzeuszem i że był z tego bardzo dumny.

W Liście do Filipian napisał, że był tak gorliwy, iż prześladował Kościół Pański, bo właśnie ta Pawłowa gorliwość była przyczyną prześladowania Kościoła. My często mówimy o nawróceniu św. Pawła i wydaje nam się, że on był wielkim grzesznikiem, który się nawrócił. Tymczasem Paweł nawrócił się, oczywiście, to nawrócenie było bardzo realne, ale na czym ono polegało? Paweł od początku wszystko robił całym sobą, nie potrafił nic robić połowicznie. A to, co się stało pod Damaszkiem, innego człowieka mogło zmiażdżyć kompletnie. Bo on zobaczył w Chrystusie tego Boga, któremu służył. I ten Chrystus powiedział do niego: „Szawle, Szawle, czemu mnie prześladujesz?". A przecież Szaweł Chrystusa prawdopodobnie nigdy nie spotkał, on prześladował „tylko" chrześcijan.

W słowach pod Damaszkiem mamy też to utożsamianie Chrystusa z chrześcijanami, które potem legnie u podstaw teologii Pawłowej. W nawróceniu Paweł potrafił przyjąć tę prawdę, że Bóg, któremu służył, objawił mu się w Chrystusie. A nie było to łatwe. Jeżeli Paweł mówi:

„Przekazałem wam to, co przejąłem”, to wskazuje to na pewno, że to wyznanie wiary było starsze niż wizyta Pawła w Koryncie. Najprawdopodobniej otrzymał on to wyznanie wiary, przejął je wtedy, gdy został chrześcijaninem, czyli właśnie w Damaszku parę lat po śmierci Jezusa. Nie wiemy dokładnie, kiedy to było. To mógł być już nawet 33 rok, może nawet 32, a mógł być 35. W każdym razie jesteśmy tu niesłychanie blisko wydarzeń historycznych związanych z Jezusem. „Przekazałem wam na początku to, co przejąłem: że Chrystus umarł – zgodnie z Pismem – za nasze grzechy, że został pogrzebany, że zmartwychwstał trzeciego dnia, zgodnie z Pismem; i że ukazał się Kefasowi, a potem Dwunastu…”.

Zaraz przejdę do interpretacji tego tekstu, ale najpierw dwie uwagi. Po pierwsze, coś bardzo istotnego nam się wymyka, bo Pawła należy czytać po grecku. Trzeba czytać po grecku, bo najlepszy przekład nie odda głębi oryginału. My mamy tu cztery czasowniki w czasie przeszłym dokonanym: „umarł”, „został pogrzebany”, „zmartwychwstał”, „ukazał się”. Tymczasem po grecku mamy trzy czasowniki w czasie przeszłym dokonanym: „umarł”, „został pogrzebany”, „ukazał się Kefasowi”. To są trzy wydarzenia, które miały miejsce w przeszłości, trzy wydarzenia, które odeszły, już ich nie ma, stało się. Natomiast czwarty czasownik „zmartwychwstał” to jest greckie perfectum, to jest pogłębiony czas teraźniejszy. I właściwie należałoby to tłumaczyć „jest zmartwychwstały, bo zmartwychwstał” albo „zmartwychwstał, dlatego jest zmartwychwstały”. Te same słowa przypisał Pawłowi rzymski prokurator Festus w rozmowie z królem Agryppą: Paweł – jak mówi Festus – o zmarłym Jezusie mówi, że żyje (por. Dz 25, 18). Ten czas teraźniejszy jest bardzo ważny, bo oddaje poczucie pierwszych gmin. Jezus jest, to nie jest przeszłość.

Teraz druga sprawa, która też nie ma bezpośredniego związku z tym, co chcę powiedzieć. „Zmartwychwstał trzeciego dnia, zgodnie z Pismem”, po łacinie: resurrexit tertio diesecundumScripturas. Ci z państwa, którzy są troszkę starsi, pamiętają jeszcze Credo po łacinie. I tu mamy fatalny błąd popełniony przez Komisję Liturgiczną Episkopatu Polski. Jest takie zalecenie, że gdy kobiety przystępują do Komunii, to powinny mówić „nie jestem godzien”, bo to ma być cytat. Ale to jest tylko parafraza cytatu. Natomiast w Credo

„Zmartwychwstał trzeciego dnia, jak oznajmia Pismo” to jest autentyczny cytat z najstarszego wyznania wiary chrześcijańskiej, jakie w ogóle jest. „Zgodnie z Pismem”, to nie znaczy „jak oznajmia Pismo”. Rozmawiałam chyba z czterema młodymi osobami osobno. I pytałam się każdego z tych studentów, co rozumieją przez te słowa. I za każdym razem usłyszałam po pewnym namyśle, z pewnym wahaniem: „Tak nam mówi Ewangelia”. Nieprawda! Kiedy Paweł to mówił, to nie było Ewangelii. I to chodzi nie o Ewangelię, tylko o Pismo, o to, co było Pismem dla Pawła, o cały Stary Testament (jeszcze do tego wrócę).

Co tutaj jest ważne. Przede wszystkim „Chrystus” dla nas to jakby drugie imię Jezusa i czy ktoś mówi „Chrystus”, czy mówi „Jezus Chrystus”, to dla nas wszystko jedno. Dla Pawła nie. Dla Pawła Christos to był Mesjasz i Paweł mówi: „Mesjasz umarł”. Tu już Chrystus nie jest tylko zwykłym człowiekiem, który umarł, ale jest Mesjaszem. Jest Mesjaszem, który umiera ludzką, straszną śmiercią. Ale jednocześnie umiera za nasze grzechy. Co to znaczy? To znaczy, że ta śmierć nas dotyczy, dotyczy każdego z nas, to jest wydarzenie historyczne. Umarł jak człowiek, jako człowiek, ale był Mesjaszem, jest Mesjaszem i ta śmierć dotyczy każdego z nas. Jednocześnie zmartwychwstał trzeciego dnia, zgodnie z Pismem. Co to znaczy? To nie znaczy, jak dawniej sobie wyobrażaliśmy, że autorzy Starego Testamentu, zwłaszcza prorocy, dokładnie widzieli Jezusa, dokładnie wiedzieli, jak On umrze itd. Tak nie jest. Paweł mówi: „zgodnie z wielkim planem Bożym, który objawia się nam w Piśmie”. To jest coś znacznie potężniejszego, prorocy nie byli jasnowidzami, proszę państwa. Owszem, dostrzegali pewne rzeczy, mówili o przyszłości także, ale często sami nie rozumieli tego, co mówią. W tych wielkich tekstach prorockich autorzy sami nie domyślali się nawet całej doniosłości, całej głębi tego, co mówią.

Podsumowując to, co powiedziałam, na Ewangelię Pawłową, zupełnie tak samo jak na Ewangelie późniejsze, rozumiane jako gatunek literacki, składają się trzy warstwy, trzy elementy: fakt historyczny śmierci Chrystusa (możemy nawet określić, kiedy umarł, to jest zjawisko bardzo dziwne, ponieważ mało jest takich faktów dotyczących życia ludzi ze starożytności, które moglibyśmy datować); potem ten fakt Jego śmierci jest interpretowany na tle całej Biblii i w świetle zmartwychwstania; i wreszcie zostaje to praktycznie

odniesione do życia Kościoła. To są te trzy elementy: fakt historyczny, interpretacja tego faktu przez pryzmat zmartwychwstania i w świetle Pisma Świętego i praktyczne odniesienia.

Jeżeli chodzi o odniesienia biblijne, to jak to wyglądało? Jak to wyglądało za czasów pierwszych chrześcijan? Na to, żeby pomóc państwu, opowiem dwie historyjki, jedną, jak pierwsi chrześcijanie, pierwsi uczniowie Jezusa rozpoznawali Jezusa w tekstach Biblii hebrajskiej, w tekstach, które my nazywamy Starym Testamentem. Wyobraźmy sobie, że mam jakiegoś wujka, który mieszka w Ameryce od niepamiętnych czasów, dla mnie niepamiętnych, i nigdy go nie widziałam, tylko mam album rodzinny, w którym są stare zdjęcia sprzed jakichś 30, 40 lat. Nie bardzo wiem, który to jest ten wujek na tych zdjęciach. I potem ten starszy pan przyjeżdża, ja go poznaję i wracam do tego albumu. Przeglądając zdjęcia, znajduję go na tych zdjęciach. To nie będzie dokładnie ten sam człowiek, bo minęło 40 lat, ale ja go poznaję. A poza tym bardzo chcę go poznać, więc może się tak zdarzyć, że go czasem poznam na takim zdjęciu, a jego wcale tam nie ma. Otóż podobnie się działo z pierwszymi chrześcijanami, oni poznawali Jezusa, odczytując Pismo Święte wstecznie niejako, odnajdywali Jezusa w Starym Testamencie. Czasem zapędzali się za daleko, bo tak bardzo chcieli Go znaleźć, że znajdowali Go i tam, gdzie Go wprost nie było. Klasycznym przykładem ósmy rozdział Dziejów Apostolskich. Dzieje opowiadają o okresie po prześladowaniu, po zabiciu Szczepana, kiedy Apostołowie i sześciu mężów (Szczepan był jednym z Siedmiu – por. Dz 6, 1nn) opuściło Jerozolimę, żeby uniknąć prześladowania, i potem do niej wróciło. I Filip, jeden z Siedmiu, został przez Ducha w pewnym sensie pchnięty na drogę wiodącą z Jerozolimy do Gazy i na tej drodze zobaczył wóz. I Duch powiedział mu, by podszedł do tego wozu. A na wozie siedział dworzanin królowej etiopskiej, który wracał z Jerozolimy. Był poganinem, ale należał do tak zwanych bojących się Boga, pogan, którzy nie przyjmowali obrzezania i innych zwyczajów żydowskich. Natomiast przyjeżdżali do Jerozolimy, oddawali cześć Bogu, składali Mu ofiary, modlili się do Niego. I ten Etiop, siedząc w wozie, czytał Izajasza, tak zwanego Drugiego Izajasza. Czytał rozdział 53, który zawiera najdziwniejszy tekst w Piśmie Świętym Starego Testamentu, gdzie jest mowa o słudze wiedzionym jak baranek na zabicie. I Filip zapytał poganina, czy rozumie, co czyta. Poganin odpowiedział, że nie

może zrozumieć, jeżeli nikt mu nie wytłumaczy. I poprosił o wyjaśnienie, o kim to prorok mówił, o sobie samym czy o kimś innym. Wtedy – jak mówią Dzieje Apostolskie – Filip, poczynając od tego tekstu, głosił Etiopowi Ewangelię o Jezusie Chrystusie. Nie było jeszcze Ewangelii, ale ten tekst Drugiego Izajasza, proroka z VI wieku przed Chrystusem, stał się jak gdyby Ewangelią, bo w nim chrześcijanie najwcześniej, zresztą sam Jezus też, rozpoznawali Mesjasza.

I druga historyjka, tym razem o szczęśliwej parze starszych już ludzi. Otóż ta szczęśliwa para wyciąga zdjęcia, jakieś stare bilety, listy, jakieś wspomnienia. I w pewnym momencie starszy pan podaje żonie kartkę i mówi do niej, że to jest ich pierwszy list miłosny. I cóż ona widzi? Kartkę wydartą z zeszytu, na której jest napisane zadanie algebraiczne, patrzy na tego starszego pana, a on się śmieje i mówi, że chodzili do jednej szkoły, ale się w ogóle nie znali. Potem ona zachorowała i poprosiła go, żeby jej przepisał zadanie. I od tego się wszystko zaczęło. Proszę państwa, mamy dokument, ta kartka to jest dokument, ale co znaczy ten dokument bez interpretacji? Wyobraźmy sobie, że po iluś tam latach, jeżeli któreś z tych małżonków było sławne, na przykład on był wielkim pisarzem, po ich śmierci ktoś przystąpi do spisywania ich życia, będzie szukał w ich papierach i natrafi na taką kartkę. To co z nią zrobi? Wyrzuci ją do śmieci, nawet mu nie przyjdzie do głowy, że ta kartka mogła mieć jakieś znaczenie.

Więc nie narzekajmy na interpretację, w gruncie rzeczy powinniśmy być głęboko wdzięczni najpierw Duchowi Świętemu, a później ewangelistom, że zechcieli nam podać nie nagie fakty, ale fakty oświetlone światłem zmartwychwstania i Pisma Świętego, że zechcieli nam wyjaśnić, co one oznaczały dla nich samych, dla ich wspólnot, a tym samym dla całego Kościoła powszechnego, także dla nas. Nie na darmo przecież Jezus mówił swoim uczniom przy pożegnaniu: „Jeszcze wiele mam wam do powiedzenia, ale teraz znieść nie możecie. Gdy zaś przyjdzie On, Duch Prawdy, doprowadzi was do całej prawdy” (J 16, 12–13a). I to jest to, jeżeli zapominamy o Duchu Świętym, jeżeli Go nie chcemy widzieć, to niewiele zrozumiemy.

Jeszcze raz chciałam wrócić do tego, co już powiedziałam, wracam z całą świadomością: narzekamy, że Ducha Świętego nie widzimy, nie potrafimy sobie wyobrazić. Całe szczęście. Bo my sobie już za dużo wyobrażamy Boga. Duch Święty jest tą niewidzialną twarzą Boga, jest jakby strażnikiem Jego transcendencji, ale przecież On jest tu, jeżeli moje słowa mają jakiekolwiek znaczenie dla kogokolwiek z państwa. I to właśnie jest to działanie Ducha Świętego.

Ewangelia szkołą modlitwy

Obecna konferencja, zatytułowana „Ewangelia szkołą modlitwy”, ma doniosłe znaczenie. W ten sposób troszkę jak gdyby odcinamy bardzo ważną część Nowego Testamentu, bo ograniczamy się do Ewangelii, ale ponieważ to jest bardzo bogaty temat, to takie ograniczenie tematu jest słuszne.

Powiedzmy sobie od razu, że Jezus sam jest naszą drogą, także jeżeli chodzi o modlitwę, co zresztą bardzo pięknie podkreśla nowy katechizm. W ogóle ta część katechizmu dotycząca modlitwy jest kapitalna. Przede wszystkim chciałam mówić, co zresztą wynika z Ewangelii, o modlitwie osobistej, modlitwie prywatnej. Co nie znaczy, że odkładam na bok modlitwę wspólnotową.

Jeżeli mówimy, że Jezus jest drogą, to On sam bierze udział w modlitwie w synagodze, występuje w synagodze, chodzi po synagogach. Obie formy modlitwy, modlitwa wspólnotowa i modlitwa indywidualna, są niesłychanie ważne i jedna nie może istnieć bez drugiej, to znaczy, że jeżeli powiemy sobie, iż chodząc na Mszę, odmawiając Liturgię godzin, już spełniamy obowiązek modlitwy, to nic z tego nie wychodzi, jeżeli tak stawiamy sprawę. I na odwrót, jeżeli ktoś mówi, że dobrze modli się w górach, w lesie, na spacerze czy nawet w kościele, ale kiedy nikogo nie ma i jest cicho, to jest to coś ułomnego, bo nikt nie jest samotną wyspą, bo jedna forma modlitwy nie może istnieć bez drugiej. I to jest bardzo istotne.

Czasem mówimy, że mamy tak dużo zajęć, jesteśmy tak zapracowani, że nie mamy czasu na modlitwę. Bywają takie okresy w naszym życiu, krótsze czy dłuższe, kiedy Bóg tak nam układa czas, że rzeczywiście nie mamy czasu na modlitwę, ale to nie ja wtedy decyduję o tym, że nie mam czasu na modlitwę, tylko Bóg. Miałam taki okres w życiu, krótki zresztą, bardzo ciężkiej choroby mojej matki, kiedy matka była w domu i kiedy naprawdę nie miałam czasu, nie tylko na modlitwę, ale nawet na sen. I wtedy wszystko było modlitwą. To był wielki czas łaski dla mnie, ale to nie było tak, że sobie powiedziałam, iż nie mam czasu. Ja naprawdę tego czasu nie miałam.

Natomiast nie łudźmy się, że potrafimy się modlić, jeśli nie będziemy zdobywać tego czasu na modlitwę. I tutaj odwołuję się do Jezusa. Proszę państwa, jest takie miejsce, które zresztą bardzo lubię, w Ewangelii według św. Marka (6, 31–33), kiedy Apostołowie wracają po głoszeniu słowa Bożego. Zebrali się u Jezusa i opowiedzieli Mu wszystko, co zdziałali i czego nauczali. A On rzekł do nich: „«Pójdźcie wy sami osobno na pustkowie i wypocznijcie nieco» [zwracam uwagę na to zdanie]. Tak wielu bowiem przychodziło i odchodziło, że nawet na posiłek nie mieli czasu". I co się dzieje? „Odpłynęli więc łodzią na pustkowie, osobno. Lecz widziano ich odpływających. Wielu zauważyło to i zbiegli się tam pieszo ze wszystkich miast, a nawet ich wyprzedzili". Byli już na miejscu, gdy uczniowie przypłynęli. „Gdy Jezus wysiadł, ujrzał wielki tłum. Zlitował się nad nimi, byli bowiem jak owce nie mające pasterza. I zaczął ich nauczać…" (Mk 6, 34).

Dlaczego to czytam? Żeby państwu pokazać, jak wyglądało życie Jezusa. On nie miał czasu, On był rozrywany przez ludzi. I co robił Jezus, Jezus, ten człowiek? Mówię o Jezusie jako o człowieku, który był najściślej zjednoczony z Bogiem, który – zdawałoby się – najłatwiej mógł powiedzieć o sobie: „Całe moje życie jest modlitwą, wobec tego nie mam czasu na modlitwę". Jezus tymczasem znajduje czas na modlitwę. I tu znowu odwołujemy się do Ewangelii według św. Marka, do jej początku, do uzdrowienia teściowej Piotra. Po zachodzie słońca, gdy skończył się szabat, ludzie zaczęli znosić masami chorych do Jezusa. I Jezus leczył wielu i wypędzał złe duchy. Można sobie wyobrazić ten wschodni tłum, krzykliwy, hałaśliwy, tłoczący się jedni przez drugich. I trzeba było nocy, żeby to się wszystko uspokoiło. A wcześnie rano, kiedy było jeszcze całkiem ciemno, Jezus wstał, wyszedł, udał się na pustkowie i tam się modlił. Czyli uciekł w nocy, ale to też Mu niewiele pomogło, dlatego że jak się inni obudzili, to dosłownie ścigali Go (użyty tu czasownik oznacza ściganie; [por. Mk 1, 29–39]). A więc jedyny moment, kiedy Jezus znajdował chwilę na modlitwę, to były noce.

I inny przykład. Przed wyborem Dwunastu Jezus odszedł na górę, żeby się modlić, i całą noc spędził na modlitwie do Boga. I potem powołał Apostołów (por. Łk 6, 12–16). Co to znaczy? To znaczy, że musi być w naszym życiu czas na modlitwę. I jeszcze jedno, to musi być czas najważniejszy w naszym dniu, co nie znaczy, że musi być

długi, nie każdy z nas jest w stanie spędzić noc na modlitwie, boby spał w ciągu dnia. Otóż nie o to chodzi. Tylko jest coś, co zaobserwowałam w czasie mojego roku za klauzurą, o którym już wspominałam. To nie chodzi nawet o trwanie, o długość tego czasu, tylko o jego wagę. To chodzi o prymat modlitwy. Każdy z nas powinien sobie powiedzieć, że w ciągu dnia przeznacza na modlitwę tyle czasu, ile może. Siostry zakonne mają to prawdopodobnie jakoś ustalone w konstytucjach, ale każdy świecki, który chce służyć Bogu rzeczywiście, powinien sobie wyznaczyć jakieś minimum; jeżeli ktoś nie może więcej, to niech będzie pięć minut, ale niech będzie zawsze. I jeżeli się tak zdarzy, że tego czasu nam zabraknie, to niech to nie będzie dlatego, że nam się nie chciało, że modlitwa była tak spychana, aż nam się w końcu oczy zamknęły. Nie, to musi być ten moment najważniejszy. Jeżeli muszę ograniczyć ten czas, czy nawet w ogóle nie mam czasu jakiegoś dnia, to muszę to czuć, że jestem zmuszona do tego, bo naprawdę ten czas modlitwy nadaje sens całemu mojemu dniowi i całej mojej pracy.

Powróćmy do tekstu Łukasza (w ogóle Łukasz najczęściej wspomina o modlitwie Jezusa). Jezus modlił się przed powołaniem uczniów i Łukasz dodaje, że Jezus wybrał ich po to, aby, po pierwsze, byli z Nim i aby ich posłał nauczać. Dla mnie kiedyś to było odkrycie, że Jezus powołuje mnie, każdego z nas bez względu na to, jakiego rodzaju mamy życie. Czy żyjemy w małżeństwie, czy samotnie w świecie, czy w życiu zakonnym, każdy z nas ma swoje własne powołanie, jest wezwany przez Jezusa. Otóż powołuje nas przede wszystkim po to, żebyśmy z Nim byli. A najlepsza definicja modlitwy, jaką ja znam, to jest definicja niemieckiego teologa Guardiniego. Po niemiecku to jest das Mit-Gott-Sein – bycie z Bogiem.

Być z Bogiem to jest modlitwa. Otóż Jezus powołuje swoich uczniów przede wszystkim po to, żeby z Nim byli, i dopiero wtedy, kiedy oni będą z Nim, On może ich posłać nauczać, może powierzyć im misję zewnętrzną. I to dotyczy każdego z nas, każdego z nas, który ma jakieś zadanie w życiu, zadanie dane mu przez Boga. To zadanie może być bardzo różne, bo to nie musi być koniecznie nauczanie, to może być zamiatanie podłóg, to może być każdy zawód, każde zajęcie, które On nam daje, bo ostatecznie Jemu służymy, ale do tego, żeby to nasze zadanie spełniać, musimy przede wszystkim być z Nim. Inaczej możemy wykonywać tę pracę gorzej lub lepiej, ale to nie On będzie przez nas działał. A On chce przez nas działać...

A kiedy byli z Nim, przyszła w sposób naturalny prośba, którą mamy tylko u Łukasza (11, 1). Kiedy Jezus przestał się modlić, powiedział do Niego jeden z Jego uczniów: „Panie, naucz nas modlić się". I u Łukasza Jezus uczy ich „Ojcze nasz…", które ma trochę krótszą formę niż u Mateusza. Chciałam państwu pokazać coś bardzo charakterystycznego u Mateusza. U Mateusza jest, żeby na modlitwie nie być gadatliwym jak poganie: „Oni myślą, że przez wzgląd na swe wielomówstwo będą wysłuchani. Nie bądźcie podobni do nich! Albowiem wie Ojciec wasz, czego wam potrzeba, zanim jeszcze Go poprosicie" (Mt 6, 7–8). Zdawałoby się, że wobec tego nie należy nic mówić, skoro Ojciec wszystko wie. Tymczasem u Mateusza mamy zaraz potem: „Wy zatem tak się módlcie" (w. 8). I następuje „Ojcze nasz". Można to wytłumaczyć w ten sposób, że Jezus daje przykład krótkiej i niesłychanie treściwej modlitwy.

Ale to nie wystarczy. Spotykam się z takimi pytaniami ludzi: „No dobrze, jeżeli Bóg wie wszystko, wie, czego mi potrzeba, zna moje prośby, moje życzenia, to po co ja mam się modlić? To przecież Bogu nic nie daje". I tutaj znowu mamy odpowiedź w Ewangelii – historia z żebrakiem pod Jerychem. Przypomnę państwu, jak to wyglądało: żebrak siedział i kiedy usłyszał, że ma przechodzić Jezus, zaczął wołać: „Jezusie, Synu Dawida, zmiłuj się nade mną!". Ludzie starali się go uciszyć na wszelkie sposoby. On jednak darł się dalej, żeby Jezus mógł usłyszeć go w tym wrzasku tłumu. No i stała się rzecz dziwna, bo Jezus raptem zatrzymał się i kazał wezwać tego żebraka do siebie. I wtedy nastąpiło może jeszcze coś dziwniejszego, na co nie zwracamy na co dzień w ogóle uwagi. Jezus zapytał się tego ślepca: „Co chcesz, żebym ci uczynił". Proszę państwa, na to nie trzeba było wszechwiedzy Bożej, żeby wiedzieć, czego ten ślepiec chce. To wiedzieli wszyscy. I Jezus oczywiście wiedział. Więc dlaczego pytał? „Panie, abym przejrzał". Jezusowi potrzebna była prośba tego żebraka. Dlaczego?

Coś podobnego mamy w historii kobiety, która miała krwotok i nie ważyła się podejść do Jezusa (por. Mk 5, 25–34). Zawsze uważamy, że ona była taka skromna. Tymczasem ona była w stanie permanentnej nieczystości rytualnej, ona nie miała prawa wepchnąć się w tłum i dotknąć Jezusa. A ona się przedarła przez tłum, mało tego, dotknęła Jezusa, frędzli Jego płaszcza. I została uzdrowiona. I

wtedy Jezus wyciągnął ją z tłumu i zmusił do tego, żeby powiedziała dlaczego. Ktoś powiedział w ten sposób, że cudu nie można ukraść, że to by było jakby magiczne dotknięcie. Jezus tymczasem powiedział, że to wiara tej kobiety ją ocaliła.

Na to, żeby Bóg mógł działać w nas i przez nas, potrzebna jest nasza postawa otwarcia na Niego, potrzebna jest postawa żebraka. To mówi katechizm na pierwszej stronie części o modlitwie. My wobec Boga zawsze jesteśmy żebrakami (por. KKK 2559), to znaczy to, co otrzymujemy, otrzymujemy darmo, bez żadnych naszych zasług. I tu jest coś bardzo ważnego, bo jeżeli nie potrafimy przyjąć tej postawy, to Bóg nie może w nas wejść. Pamiętajmy o tym, że Bóg jest niesłychanie delikatny, dał nam wolną wolę i tej wolnej woli nie będzie łamał. Bóg nas nie gwałci, tylko zabiega o nasze otwarcie. To jest też ten obraz z Apokalipsy, do którego jeszcze wrócimy: „Oto stoję u drzwi i kołaczę: jeśli ktoś posłyszy mój głos i drzwi otworzy, wejdę do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze Mną” (Ap 3, 20). Puka, a nie włamuje się. I modlitwa to jest przede wszystkim nasze otwarcie na Boga, otwarcie na Jego miłość. Będę mówiła o tym, dlatego to świadomie przygotowuję.

Co to jest miłość, proszę państwa? Dla mnie najlepszą definicją miłości jest określenie jednego z francuskich teologów: „Kochać to nie znaczy brać, to wszyscy wiemy, ale przyjmować i dawać”. Przyjmować to jest pierwszy akt miłości, nasze otwarcie się na Boga w modlitwie to jest najpierw przyjęcie, przyjęcie Jego łaski, Jego miłosierdzia, ale i Jego wymagań. I oddanie, to jest zresztą także nasza miłość w stosunku do ludzi, to jest przyjmowanie ludzi takich, jakimi są. I najpierw człowieka trzeba przyjąć, a potem dopiero można mu coś dać. Siebie dać. O tym jeszcze będziemy mówić, ale ponieważ jest ważne, żeby zrozumieć coś z tajemnicy Trójjedynego, dlatego o tym mówię już teraz. Jest jeszcze coś, chodzi o to, jaka ma być ta modlitwa.

W Ewangelii według św. Łukasza (i tylko u niego) po nauce modlitwy „Ojcze nasz” pojawia się przypowieść o natrętnym przyjacielu, który w nocy przychodzi do swojego przyjaciela, budzi go i prosi o chleb dla swojego gościa (por. Łk 11, 5–8). A tamten, obudzony, nie chce wstać i wyjaśnia, że nie może wstać, bo leży w

łóżku razem z dziećmi. To oczywiście jest wymówka, bo przecież, jeśli tamten obudził go głośnym wołaniem, to i dzieci też się obudziły. I pamiętajmy, że w obliczu świętego prawa gościnności ten przyjaciel okazuje się nie tylko nieuczynny, ale i niegodny miana przyjaciela. Jednakże ten proszący nie przestaje się dobijać. I Jezus konkluduje: „Powiadam wam: Chociażby nie wstał i nie dał mu z tego powodu, że jest jego przyjacielem, to z powodu jego natręctwa wstanie i da mu, ile potrzebuje" (w. 8). Po polsku jest przetłumaczone bardzo grzecznie – „natręctwo", natomiast w greckim oryginale jest po prostu „bezczelność". A za tą grecką bezczelnością stoi jeszcze coś, czego się dowiedziałam niedawno. Jest takie słowo hebrajskie, które w różnych opowieściach rabinów określa postawę modlitwy. Słowo to brzmi „hucpa" i oznacza upartą, zuchwałą bezczelność. I to jest cecha wiary.

Nasza modlitwa ma być bezczelna, przykład takiej modlitwy daje nam znowu Łukasz w osiemnastym rozdziale swej Ewangelii. Oto wdowa nachodziła sędziego, który o ludzi nie dbał i Boga się nie bał, ale który w końcu załatwił jej sprawę, bo już miał dosyć jej natręctwa, tego jej nachodzenia (por. 18, 1–8). Proszę też przypomnieć sobie tego żebraka i tę kobietę z krwotokiem. Oboje byli bezczelni, a zwłaszcza ta kobieta, bo złamała wszelkie przepisy o czystości, kiedy się przedarła do Jezusa. Albo Kananejka (dla mnie zresztą to wyjątkowo piękna postać), która szła za Jezusem mimo że Jezus powiedział, iż nie chce z nią rozmawiać, o której Jezus powiedział twarde słowa, że nie jest dobrze zabierać chleb dzieciom i rzucać szczeniętom (por. Mt 15, 21–28). Te szczenięta to kalka z Wulgaty, bo w greckim tekście są małe pieski. To jest zresztą zrozumiałe, bo duże psy się nie dostawały do domu, nie były pod stołem. Tam jest jeszcze odcień humoru, bo kobieta ta potrafiła odpowiedzieć Jezusowi, że i małe pieski pod stołem jedzą okruchy, które spadają ze stołu dzieci. Proszę zauważyć, jej prośba była prośbą niewysłuchaną, Jezus ją odtrącił, a ona uparcie nie dawała za wygraną, nie pozwoliła się odtrącić. To jest ciągle ta sama cecha, ten upór modlitwy.

I jeszcze jeden obraz. Być może się państwo zdziwią. W Kanie Galilejskiej Jezus powiedział Maryi, by w gruncie rzeczy dała Mu spokój, by nie wtrącała się do Jego spraw (por. J 2, 1–12). Ale Maryja nie dała za wygraną, nie zrezygnowała, powiedziała tylko sługom, by

zrobili wszystko, co Jezus im powie. Ale Maryja nie mogła przewidzieć, co Jezus im powie.

W tych wszystkich obrazach najważniejsze są nie słowa, zresztą kobieta dotykająca Jezusa od tyłu nie mówiła nic, ale ta zuchwała wiara w miłosierdzie. Ta wiara, która się nie daje niczemu odtrącić, której nic nie może zatrzymać. U Łukasza zaraz po scenie ze ślepcem spod Jerycha (18, 35–43) jest wydarzenie z Zacheuszem, który, gdy Jezus wychodził z Jerycha, wszedł na sykomorę (19, 1–10). W Jerychu jest sykomora, która oczywiście nie wywodzi się z czasów Jezusa, ale jest pielęgnowana jako sykomora Zacheusza. Otóż tutaj warto zwrócić uwagę, że sposób postępowania Zacheusza jest jak gdyby zaprzeczeniem bezczelności. Bo to jest człowiek bardzo bogaty i on mógłby sobie utorować drogę do Jezusa bardzo łatwo. Mógł posłać służących, żeby mu utorowali drogę do Jezusa, do tego cudotwórcy, ale on postępuje inaczej. On nie śmie, on wie, że jest nieczysty, wie, że jest grzesznikiem. On jest nie tylko celnikiem, ale szefem celników, tylko że celnik w Ewangelii nie ma nic wspólnego z naszymi celnikami. Rzecz polegała na tym, że system pobierania podatków był inny w tamtym świecie niż w naszym, to znaczy ludzie bogaci gwarantowali państwu, że dostarczą określoną sumę pieniędzy z podatków, i potem sami te podatki ściągali. Najbogatsi nie ściągali ich sami, lecz posługiwali się innymi, od których z kolei żądali jakiejś sumy podatku. I każdy z tych drobnych poborców mógł ściągnąć, a nawet musiał ściągnąć więcej, niż w rzeczywistości wynosiła wysokość podatku na rzecz państwa. Bo on musiał z czegoś żyć i on żył z tej różnicy. Określoną kwotę musiał przekazać państwu, a reszta należała do niego. I każdy z nich dążył do tego, żeby ściągnąć jak najwięcej i żeby jak najwięcej pieniędzy sobie zostawić. A w dodatku w świecie żydowskim poborców podatków obciążała współpraca z pogańskimi Rzymianami. I Zacheusz, który był bogaty, który miał znaczenie, na pewno był postacią znaczącą w Jerychu, nie miał odwagi podejść do Jezusa. Wszedł więc na drzewo, żeby Go zobaczyć chociaż z daleka, ale i tu była też ta sama postawa tej upartej wytrwałości. Zacheusz na pewno był bardzo zdziwiony, kiedy Jezus zatrzymał się pod sykomorą i powiedział, by prędko zszedł, bo chce się zatrzymać u niego w domu. Wyobrażam sobie tę jego radość i to zupełne zaskoczenie jego i wszystkich innych zresztą.

Jest jeszcze jeden przykład takiej wiary, który najbardziej kocham. Chodzi mi o znajdujący się we wszystkich Ewangeliach synoptycznych przykład z paralitykiem przyniesionym do Jezusa. Wydaje mi się, że najbardziej realistyczny jest opis Marka (por. Mk 2, 1–12). Wydarzenie miało miejsce też w Kafarnaum, Jezus przebywał prawdopodobnie w domu Piotra. Kiedy Jezus wrócił do Kafarnaum, ludzie dowiedzieli się, że jest w domu, i zebrało się tam tyle ludzi, że nawet przed drzwiami nie było miejsca. I wtedy przyszli do niego z paralitykiem, którego niosło czterech ludzi, i nie mogli wejść. Nie mogli się przepchnąć do Jezusa, wobec tego zrobili rzecz zuchwałą, bezczelną – wleźli na dach i dach ten rozerwali, rozszarpali. Proszę państwa, dachy w Palestynie to przeważnie była trzcina lub liście palmowe zlepione gliną. I to był taki płaski dach, który dawał się łatwo rozerwać (Łukasz, który najwyraźniej nie znał domów palestyńskich, mówi, że go wpuścili przez dachówki; domy w Palestynie nie mały dachów spadzistych z dachówkami, które Łukasz znał z innego świata, z Azji Mniejszej, z Grecji). I tych czterech przyjaciół spuściło paralityka pod nogi Jezusa. I znowu mamy ten upór. I mamy jeszcze coś. Powiedziane jest, że postępowanie Jezusa było reakcją na ich wiarę, to znaczy wiarę tragarzy i tego paralityka, na ich wiarę bez żadnych słów, bo tam nie było żadnych słów. Paralityk może nie mógł mówić, a tamci czterej byli na dachu. I Jezus go uzdrowił i odpuścił mu grzechy. To jest dla mnie kapitalny obraz modlitwy wstawienniczej, kiedy rzucamy Bogu, Jezusowi pod nogi tych, za których się modlimy. Możemy oczywiście prosić o coś dla nich, ale możemy ich po prostu rzucić pod nogi. Jest w tym coś z tego, co powiedziała Maryja do Jezusa w Kanie Galilejskiej. Nie powiedziała Jezusowi, żeby zrobił to czy tamto, a tylko przedstawiła sprawę, pokazała sprawę Bogu. Być może znowu można powiedzieć, że przecież Bóg wie, czego potrzebujemy i nie musimy Go prosić. Ale właśnie potrzebuje tego gestu z naszej strony.

I jeszcze jedna rzecz, te wszystkie przykłady, o których tutaj mówiłam, w nich nie chodzi tylko o modlitwę wstawienniczą, modlitwę za kogoś, tak może być, ale ten upór, ta bezczelność tego przyjaciela w nocy, tej wdowy czy tego ślepca, który wołał, żeby zwrócić na siebie uwagę, wskazują też na trudności związane z modlitwą.

Przypuszczam, że wielu z państwa zna taką modlitwę trudną, bo są okresy w naszym życiu, kiedy nas ciągnie do modlitwy, kiedy Bóg nas pochłania, kiedy Bóg nas fascynuje. Kiedy to, na co patrzymy, czasem staje się mniej realne, wydaje nam się jakby dekoracją teatralną, a my po prostu wiemy, że to są te momenty, kiedy wiara zaczyna być widzeniem. Ale Bóg jest rozsądnym pedagogiem i wie, że gdyby nam było za łatwo się modlić, to byśmy się w końcu modlili dla własnej przyjemności.

A cała rzecz polega na tym, że Bóg – jak to Jezus powiedział do Samarytanki – szuka takich czcicieli, którzy będą się modlili w duchu i w prawdzie. Że Bóg czeka na nas, szuka nas i chce od nas, żebyśmy przyszli dla Niego. Tylko że zbyt rzadko nam o tym mówiono. Ja natomiast miałam to szczęście, jedną z największych łask mojego życia, jeżeli nie największą w ogóle, że mam jednego ojca duchownego od 45 lat. I mądrego ojca, który mnie różnych rzeczy właściwie nie uczył, tylko pozwalał, żeby mnie Duch uczył. A pilnował, żebym nie poszła na prawo czy na lewo, czy żebym sobie nie zrobiła jakiejś krzywdy.

Moim ojcem duchownym jest o. Augustyn Jankowski z Tyńca. Pamiętam taki moment, to było dawno temu, był to czas, kiedy o. Jankowski był jeszcze w Warszawie, przed jesienią ’55 roku. Kiedyś z jakiegoś powodu moja matka nie chciała, żebym w dzień powszedni poszła do kościoła (przystępowałam do Komunii codziennie), natomiast ja chciałam iść. Zrobiła się w domu awantura na ten temat, nie pamiętam, jak to się skończyło, nie pamiętam, czy poszłam, czy nie poszłam, tylko wiem, że potem oskarżałam się w konfesjonale ojcu duchowemu i powiedziałam mu, że chyba w takim wypadku, kiedy chodziło o dzień powszedni, to pewno lepiej byłoby ustąpić, niż się awanturować. Ojciec duchowny natomiast na pewno nie pochwalał awanturowania się, ale powiedział mi, że zależy to od okoliczności, i dodał, bym pamiętała o jednej rzeczy, że tam ktoś na mnie czeka. Muszę powiedzieć, że wtedy te słowa odebrałam jako szok, ponieważ nigdy nie przyszło mi do głowy, że idę, bo to mi coś daje, bo idę po moc, po światło, a nie że ktoś na mnie czeka. Że ta modlitwa była dla Niego, to mi do tego momentu nigdy do głowy nie przyszło. To On nas bardzo często przeprowadza przez pustynię i wtedy trzeba uporu tego przyjaciela, który walił w nocy w drzwi. Trzeba uporu tej wdowy, bo w tym naszym uporze modlitwy jest

nasza wiara w Jego Miłosierdzie. Ta wytrwała wiara w to, że ta ciemność, ta pustynia jest tylko dlatego, że my tak ją odbieramy.

A przecież nieraz jest tak, jak cytowany już przeze mnie Chapman mówi w pewnym miejscu, jakbyś mówił, człowieku, w ciemnym pokoju do kogoś, kogo w tym pokoju nie ma. Może być takie poczucie, Bóg na nie pozwala. I wtedy zostaje to walenie, trzeba tego, co się nazywa po hebrajsku „hucpa". Taka uparta wytrwałość, taka bezczelna wytrwałość, to zawracanie Panu Bogu głowy.

I jeszcze jeden obraz, który bywał często, teraz może już nie, interpretowany w sposób fałszywy. To jest historia Marty i Marii (por. Łk 10, 38–42). Wszyscy znamy tę historię o Marcie, która się kręci, zabiega, jest dobrą gospodynią. Maria nic nie robi, tylko siedzi u nóg Jezusa i słucha, jest z Nim. I Jezus na wezwanie Marty odpowiada: „Maria obrała najlepszą cząstkę, której nie będzie pozbawiona". I zrozumiała to jako przeciwstawienie życia czynnego i życia kontemplacyjnego. Jeżeli ma być życie chrześcijańskie, to nie może być takiego życia czynnego, które by nie było kontemplacyjnym, i nie może być takiego życia kontemplacyjnego, które by nie było w pewnej mierze czynne.

Chyba chodzi o co innego, chodzi o dwie postawy, które mogą być także postawą modlitwy. To znaczy, jest modlitwa taka rozlatana, o tym trzeba pamiętać i o tamtym trzeba pamiętać, i za tego muszę się pomodlić i za tamtego, tutaj taką modlitwę odmówić, a tam tamtą. Tutaj to, a tam tamto. To jest droga pełna, że tak powiem, dobrej woli, ale ważniejsze jest co innego, ważniejsze jest po prostu być z Nim. I to jest to, czego jeszcze ciągle nas za mało uczą.

Owszem, miałam to szczęście, że słyszałam już kilka homilii czy kazań na temat milczącej modlitwy, ale bądź co bądź żyję 70 lat, więc jeżeli słyszałam to kilka razy, to nie jest za dużo. Tutaj odsyłam państwa do katechizmu, tylko uwaga, został tam popełniony istotny błąd w tłumaczeniu. W polskim przekładzie mianowicie to się nazywa „Formy modlitwy" i to nie jest dobry przekład, ale ponieważ jest trudny do przełożenia, można zostawić te „formy". Jest tam mowa o modlitwie ustnej, jest mowa o rozważaniu, rozmyślaniu, medytacji. I jest mowa o trzeciej formie modlitwy, na którą my po polsku nie mamy odpowiedniego słowa. I wobec tego nie wiem, czy tłumacz, czy ten, kto to poprawiał, nazwał tę trzecią formę kontemplacją. I to od

razu pewną część naszej publiczności odstrasza, „Kontemplacja? To nie dla mnie". Naprawdę ta trzecia forma modlitwy nazywa się po francusku oraison, a kontemplacja to zupełnie inne słowo, contemplation. Od razu widać różnicę. Otóż rzeczywiście nie ma po polsku trzeciego słowa na modlitwę. Modlitwa jest ustna, jest rozważanie czy medytacja i co... Osobiście chcę tutaj mówić o modlitwie wewnętrznej, takiej modlitwie, która się odbywa bez słów, która jest po prostu byciem z Bogiem i która może być także kontemplacją.

Zresztą, widzą państwo, katechizm jest przedziwny, jestem głęboko wdzięczna autorom katechizmu za to, że przytaczają nie tylko teksty kościelne, wypowiedzi papieży, wielkich świętych... Ale muszę opowiedzieć pewną historyjkę, a potem powiem, jak to jest opowiedziane w katechizmie. To jest taka historia, którą wielu z państwa na pewno zna, historia z życia św. Jana Marii Vianneya, proboszcza z Ars. Na samym początku proboszczowania miał wielkie kłopoty także z modlitwą, nie umiał się modlić. Kiedyś przechodził przez kościół i zobaczył chłopa, który klęczał przed tabernakulum. Po dłuższym czasie przechodził znowu przez kościół, a ten chłop dalej klęczał, wobec tego proboszcz się zainteresował i zapytał się go:

– Co ty tu robisz?
– Ja się modlę.
– A jak się modlisz?
– Ja patrzę na Niego, a On patrzy na mnie.

I wtedy Proboszcz z Ars zrozumiał, że to, co dla niego było takie trudne, może być niesłychanie proste. Otóż katechizm posługuje się takim skrótem myślowym, że modlitwa wewnętrzna jest patrzeniem. Tak jak powiedział chłop do Proboszcza z Ars: „Ja patrzę na Niego, a On patrzy na mnie". I tam jest użyty polski rzeczownik „spojrzenie" (KKK 2715) i czasownik „wpatrywać się". W katechizmie jest powiedziane, że ta modlitwa jest słuchaniem, a słuchanie nie jest wcale postawą bierną, tylko słuchanie to jest posłuszeństwo, to jest udział w posłuszeństwie Jezusa i tej pokornej służebnicy. I ta modlitwa wewnętrzna jest właśnie milczeniem Maryi (to jest już mój dodatek). Milczenie, jak mówi św. Jan od Krzyża, jest milczącą miłością.

Jest jeszcze jedna rzecz bardzo ważna. Wcześniej, tam gdzie jest mowa o rozważaniu, rozmyślaniu, jest powiedziane, że są różne metody i te metody do pewnego stopnia mogą być pożyteczne, że nawet wtedy, kiedy mogą być dobre, to nigdy nie można zapominać, że one tylko mają nas doprowadzić do jedynej drogi modlitwy, jaką jest Jezus.

Wracając jeszcze do modlitwy wewnętrznej. Słowa i myśli mają pewną rolę do spełnienia w naszej milczącej modlitwie, ale tylko taką jak chrust, który się wrzuca do ognia, żeby go podtrzymał. Chrust podtrzymuje ogień miłości. Otóż modlitwa milcząca może być modlitwą bardzo trudną, to ma być moja modlitwa, mam rozmawiać z Bogiem, to nie może być tylko powtarzanie słów cudzych. Jeżeli przyjmuję kogoś bardzo ważnego i drogiego w domu, to przecież nie usiądę przed nim i nie będę mu recytować tego, co napisałam czy ktoś mi napisał. I nie będę mówić bez przerwy, przecież to nie jest właściwa postawa. My najpierw musimy umilknąć, żeby słyszeć Boga.

I pamiętajmy jeszcze o jednym (to jest już moje porównanie, a nie katechizmowe), że słowa i myśli to coś w rodzaju trampoliny, że mamy skoczyć z tej trampoliny, odważyć się skoczyć w to bycie z Nim, bo istotą modlitwy jest bycie z Nim. Jeżeli na nic innego nie mogę się zdobyć – bo bywają takie okresy, kiedy modlitwa jest bardzo trudna – to zostaje właśnie to trwanie z Nim.

I może jeszcze jeden obraz – dawniej czasem sobie wyobrażałam, że jak się modlę, to jestem takim słonecznikiem, który się zwraca do słońca, do Boga. A kiedyś przyszło mi do głowy, że to niezupełnie tak, bo słonecznik bierze to światło dla siebie. A teraz porównanie bardzo techniczne i brzydkie w gruncie rzeczy przyszło mi do głowy, że jestem czymś w rodzaju anteny satelitarnej, że przejmuję ten sygnał, a sygnał idzie dalej, bo cała rzecz polega na tym, że – jak powiedziała Francuzka Madeleine Delbrêl – każdy z nas otrzymuje wiarę dla wszystkich, tak każdy z nas modli się w imieniu wszystkich i dla wszystkich. Nawet jeżeli ta modlitwa jest w ogóle bez słów, to muszę formułować prośbę, muszę prosić także Jego o siłę, o modlitwę, o łaskę modlitwy. O to, żeby On mnie uczył się modlić przede wszystkim. Może jeżeli nam jest tak trudno się modlić, to może dlatego, że za mało Go prosimy o pomoc? Bo On chce, żeby Go prosić. Ale kiedy jesteśmy tylko sami z Nim, to przecież On przez nas

przechodzi w świat, a my nawet nie wiemy, gdzie, kiedy, komu może nasza modlitwa pomóc, bo my jesteśmy „anteną satelitarną”, która przekazuje dalej Boga ludziom, którzy może sami nie potrafią się modlić. Można by mówić na ten temat bez końca, więc muszę kończyć, bo mówię dużo dłużej, niż miałam mówić.

Chciałam prosić, żebyście się za mnie pomodlili.

Trójjedyny – tajemnica chrześcijańskiego życia

Obecny temat, temat dwóch ostatnich konferencji jest mi podyktowany przez jutrzejszą niedzielę. Mimo że druga konferencja ma troszkę zagadkowy tytuł „Uczta Baranka", mogę państwu powiedzieć, że jeden i drugi temat łączy się ściśle z tajemnicą Trójcy, a tak naprawdę z tajemnicą całego naszego chrześcijańskiego życia. Tutaj jest właśnie to, co wydaje mi się najważniejsze, choć na ogół my, pobożni chrześcijanie, wolimy nie tykać tajemnicy Trójcy Świętej i zostawiamy ją teologom, którzy napisali wiele uczonych, czysto teoretycznych ksiąg. Jeden z francuskich teologów, który właśnie tą tajemnicą zajął się tak, żeby ją przybliżyć zwykłym ludziom, zaczyna swoją książkę od pewnej anegdotki (mam wrażenie, że to jest jego własne doświadczenie). Otóż bardzo uczony profesor wygłaszał wspaniały wykład na temat Trójcy Świętej, posługując się określeniami niezrozumiałymi dla zwykłych ludzi, takimi jak perychoreza. Odbywało się to chyba w seminarium duchownym. I po tym wykładzie ktoś ze słuchaczy podszedł do tego księdza profesora i powiedział do niego:

– No, to było niesłychanie ciekawe, niesłychanie pięknie powiedziane, ale czy ksiądz mógłby nam powiedzieć, jaki to ma związek z życiem modlitwy? I jak to nam może pomóc w pracy duszpasterskiej?

Na co ten uczony profesor wzruszył ramionami i powiedział:

– To nie ma z tym w ogóle nic wspólnego.

Proszę państwa, to jest właśnie jeden z podstawowych błędów naszej tradycyjnej teologii. W tej chwili zdajemy sobie sprawę, że jest to błąd straszny, bo chrystologia, nauka o Chrystusie, zupełnie została oderwana od tajemnicy Trójcy Świętej i sama tajemnica Trójcy Świętej stała się czymś takim, czego lepiej nie tykać, bo i tak nic z tego nie zrozumiemy, a jak się zaczniemy za bardzo zastanawiać, to może jeszcze stracimy wiarę, a przynajmniej w jakiś sposób wiara zostanie w nas podkopana czy podłamana. Tymczasem trzeba sobie powiedzieć bardzo wyraźnie, że to jest centralna tajemnica chrześcijaństwa. I jeżeli my tę tajemnicę odkładamy na bok, to można sobie zadać pytanie: „Czy my jeszcze jesteśmy w pełni chrześcijanami?".

A jeśli chodzi o zastrzeżenia, że jest to tajemnica tylko dla uczonych, to może warto sobie przypomnieć, jak Jezus błogosławił Ojca, że zakrył swoje prawdy przed uczonymi i mądrymi, a objawił je ludziom prostym, którzy żadnego przygotowania nie mają, tylko są gotowi uczyć się; którzy nie są mądrzejsi od tego, który ich uczy (por. Mt 11, 25). Tak że to nie jest żadne wytłumaczenie, że w chrześcijaństwie są tajemnice, że jest wielka tajemnica Boga, i musimy się zgodzić z tym, że my tajemnicy Boga nigdy do końca ani nawet w znacznym stopniu nie zgłębimy.

Św. Augustyn powiedział bardzo ładnie (bardzo lubię to jego powiedzenie): „Jeżeli rozumiesz, to już nie jest Bóg". Bóg przekracza nasze zrozumienie i trzeba się z tym pogodzić, ale to wcale nie znaczy, że mamy dlatego nie zastanawiać się nad tym, co On sam o sobie chciał nam powiedzieć. Bo jeżeli pominiemy te rzeczy, to będzie to co najmniej nieuprzejmość wobec Pana Boga. Bo jeżeli chciał nam coś objawić o swym wewnętrznym życiu, to widocznie chciał, żebyśmy z tego skorzystali.

Otóż taki podstawowy błąd, który popełniamy wszyscy, próbując podejść do tej tajemnicy, to rozpoczęcie i skończenie na formule dogmatu „Jeden Bóg w trzech Osobach". No i co to znaczy? To nic nie znaczy. Już Kalwin w XVI wieku powiedział, iż trzeba pamiętać o tym, że osoba w formule dogmatu znaczy coś zupełnie innego niż osoba w czasach Kalwina. Bo w czasach Kalwina osoba znaczyła tyle co człowiek. I dzisiaj może poszliśmy jeszcze dalej, bo jeżeli się mówi, że w Bogu są trzy Osoby, to brzmi to tak, jakbym powiedziała, że w pokoju są trzy osoby. Trzy osoby to jakby trzej ludzie, bo my nie znamy innych osób.

A jeszcze gorzej jest, jeżeli się mówi poprawnie. Bóg jeden w trzech osobach. Otóż Bóg – jak nas uczą – jest osobą, więc można to zdanie odebrać tak, jakby ktoś powiedział, że to jedna osoba w trzech osobach, a to jest sprzeczność. I cała rzecz polega na tym, że trzeba zacząć nie od formuły dogmatu, bo formuła dogmatu jest owocem zmagań wczesnych chrześcijan z próbą takiego opowiedzenia o Bogu, żeby zachować jedność Boga, a jednocześnie żeby ten Bóg był Ojcem i Synem i Duchem Świętym. Jak to powiedzieć? Zmagania te trwały długo, bo formuła ta powstała ostatecznie w IV wieku.

Zastanawiam się, jak powiedzieć coś na ten temat, co byłoby zrozumiałe dla nas dzisiaj, co by nam przybliżyło tę tajemnicę i jednocześnie pokazało jej doniosłość praktyczną. To jest tajemnica, w której się wszystko wyjaśnia, do której wszystko zmierza w życiu chrześcijańskim. Nie mam jednak złudzeń, że potrafię państwu przekazać nawet tylko to wszystko, co sama jakoś trochę wiem. Wiem tylko, że to jest samo serce chrześcijaństwa. Próby różnego rodzaju tłumaczenia bardzo często komplikują tę sprawę, więc broniąc jedności Boga, mówi się, że w Bogu jest jedna natura i trzy Osoby, co może prowadzić, choć nie musi, do takiego rozumienia, jakby ta jedna natura była pierwotna, a trzy Osoby z niej niejako wyrastały. Wydaje mi się, że najszczęśliwszym sformułowaniem jest takie zdanie jednego z francuskich teologów, który mówi, że „naturą naszego Boga jest być Ojcem i Synem i Duchem Świętym, taka jest natura naszego Boga".

Jest jeszcze jeden zarzut. W ogóle nasi bracia monoteiści, Żydzi i muzułmanie, zarzucają nam, że my nie jesteśmy w ogóle monoteistami, bo mamy trzech bogów. I powiedzmy sobie, że w pewnych przypadkach, przy pewnych złych interpretacjach, przy pewnym złym zrozumieniu tego dogmatu takie niebezpieczeństwo może rzeczywiście istnieć. Natomiast nasi bracia niewierzący mówią nam o antropomorfizacji, wyobrażaniu sobie Boga jako człowieka, bo oni ciągle widzą osobę jako człowieka. Dla nich osoba to znaczy człowiek. Zapominają przy tej okazji, że pojęcie filozoficzne osoby narodziło się z dogmatu Trójcy Świętej, takiego pojęcia nie było wcześniej. Teraz właśnie ci niewierzący chcą Boga bezosobowego, że ma być kimś więcej, a jest akurat kimś mniej. To nie jest próba obronienia Boga, Jego wielkości, tylko jest to ściąganie Boga poniżej poziomu człowieka, a my musimy sięgać wyżej. Jest tak, że Bóg jest osobą, ale nie jest osobą jak „ja" czy „ty". Wobec tego można by, mówiąc o Trójcy Świętej, mówić o nadosobowości Boga (to mój termin i w związku z tym wcale nie najszczęśliwszy), bo to nie jest taka osoba jak każdy z nas.

Może nam tutaj pomóc stare Credo, stare wyznanie wiary, które teraz zostało całkowicie zarzucone, a dawniej było w brewiarzu kapłańskim i pojawiało się tylko raz w roku, w niedzielę Trójcy Świętej. Pojawiało się w godzinie zwanej prymą. Ten symbol wiary

nazywa się potocznie symbolem św. Atanazego, choć nie ma nic wspólnego ze św. Atanazym, bowiem powstał prawdopodobnie na Zachodzie, w Galii, w V, a może w VI wieku. Jest tam takie miejsce, które, gdy je odkryłam, to mnie troszkę zaskoczyło. I teraz chcę państwa zaskoczyć w pewnym sensie. Jest takie twierdzenie, kilka twierdzeń: nieskończony jest Ojciec, nieskończony jest Syn, nieskończony jest Duch Święty, nie trzej jednak nieskończeni, ale jeden Nieskończony; wiekuisty jest Ojciec, wiekuisty jest Syn, wiekuisty jest Duch Święty, nie trzej jednak wiekuiści, ale jeden Wiekuisty; wszechmocny jest Ojciec, wszechmocny jest Syn, wszechmocny jest Duch Święty, ale nie trzej wszechmocni, tylko jeden Wszechmocny. Jak to? Ale następne zdanie nam wszystko wyjaśni: Bogiem jest Ojciec, Bogiem jest Syn, Bogiem jest Duch Święty, nie trzej jednak bogowie, ale jeden Bóg.

Co do tego nie mamy wątpliwości, że jeden jest Bóg. To tylko znaczy, że mieliśmy pewne trudności z tymi pierwszymi zdaniami, że załamujemy się niejako pod ogromem tajemnicy Trójcy Świętej. Pocieszmy się, że nie tylko my jedni. Cała rzecz polega na tym, że czy chcemy, czy nie chcemy, to my sobie ciągle Boga wyobrażamy po ludzku i zapominamy, że Bóg jest poza wszelkimi kategoriami, że jest poza kategorią męskości i żeńskości, że wszelkie próby, z których feministki amerykańskie zasłynęły, zrobienia z Boga istoty żeńskiej są błędne. No bo jak nie można przyznawać Mu męskości? On nie jest ani mężczyzną, ani kobietą, On jest ponad tym wszystkim. Jego postępowanie wobec nas ma cechy ojcowskie i cechy matczyne, ale to nie znaczy, że jest Ojcem w naszym tego słowa znaczeniu czy Matką w naszym tego słowa znaczeniu. I tak samo jest z liczbami, Bóg jest ponad wszelkimi kategoriami, także kategorią liczb. W Starym i Nowym Testamencie nigdy nie ma liczenia. Bóg jest zawsze jedyny, nie można do siebie dodawać trzech jedynych. Zastanówmy się, my ciągle operujemy tymi trzema osobami, ale czy to znaczy, że Duch Święty albo Ojciec, albo Syn są jedną trzecią Boga? Przecież nie, z tego sobie zdajemy sprawę, na to reagujemy mocno. Trzeba uciec od liczb, bo jedyną liczbą Boga jest jedyny i prawda jest taka, że to nie jest przeciwstawienie jednego Boga i trzech osób, to nie jest taka matematyczna zagadka, jak to może być, że 1 równa się 3, tylko jest to tajemnica radości naszego Boga, który jest jeden, ale nie jest samotny. I to jest tajemnica.

Nie powiem państwu, że ja czy ktokolwiek inny potrafi państwu to wytłumaczyć, ale jeżeli spróbujemy iść od strony Boga, od strony Pisma Świętego, jeżeli zaczniemy nasze rozważania o Trójcy Świętej od początku, to znaczy od Pisma Świętego, przede wszystkim od tego, co Jezus mówił, ale nie tylko, jak zaraz zobaczymy, to i wtedy nie powiem, że wszystko zrozumiemy. Nie możemy zrozumieć drugiego człowieka, tak naprawdę rozumiemy go lepiej, jeżeli z nim stale żyjemy, jeżeli między nami tworzy się zażyłość, tworzy się przyjaźń. I tylko w ten sposób możemy coś z tego drugiego człowieka zrozumieć. Jeżeli będziemy studiowali jakieś wyniki badań, jakieś opracowania o nim, to nam to nic nie da, my musimy żyć z tym człowiekiem. Musimy żyć jego życiem, to samo tym bardziej dotyczy Boga. Jeżeli będziemy próbować spekulacji, to dojdziemy do takiego momentu, że się zaplączemy całkowicie.

Zacznijmy od początku, to jest od Starego Testamentu. Czy w Starym Testamencie jest jakiś zarys objawienia tajemnicy Trójcy Świętej? Bibliści twierdzą, że nie ma tej tajemnicy tam, gdzie się jej domyślamy, na przykład w postaciach trzech gości, którzy przychodzą do Abrahama (por. Rdz 18), chociaż piękny obraz Rublowa to medytacja o Trójcy Świętej. O trzech gościach wyraźnie jest powiedziane, że Bóg rozmawiał z Abrahamem i jednego anioła posłał w jedno miejsce, a drugiego anioła posłał w drugie.

Tak samo niektórzy chcieli się dopatrywać zarysu tej tajemnicy w pierwszym rozdziale Księgi Rodzaju, gdzie Bóg stwarza człowieka (1, 26–27). Tam w pewnym momencie Bóg ni stąd, ni zowąd przechodzi na liczbę mnogą. Występujące tam słowo „Elohim” oznaczające Boga ma formę liczby mnogiej, ale normalnie zawsze ma orzeczenie w liczbie pojedynczej, a tutaj raptem Bóg mówi: „Stwórzmy człowieka”. Bibliści mówią, że jest to najprawdopodobniej tak zwana liczba mnoga zastanowienia. My to nawet mamy po polsku. Wyobraźmy sobie, że mam jakieś trudne zagadnienie do rozwiązania, jestem sama i mogę sobie w pewnym momencie powiedzieć: „Zastanówmy się, co ja mam zrobić”. Najprawdopodobniej to jest właśnie to, a jednocześnie przejście na liczbę mnogą wskazuje na to, że ma się stać coś niesłychanie ważnego, zostaje stworzony człowiek na obraz i podobieństwo Boga, nawiasem mówiąc człowiek tutaj to nie jest jeden człowiek, tylko gatunek ludzki. Słowo „adam” oznacza zarówno

pojedynczego człowieka, jak i cały gatunek ludzki, a ponieważ w tym wypadku występuje z rodzajnikiem, więc bibliści mówią, że to chodzi o gatunek ludzki.

Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, stworzył go mężczyzną i niewiastą, a naprawdę po hebrajsku jest, że stworzył go męskim i żeńskim, co znaczy, że Bóg stworzył na swój obraz i podobieństwo nie jednego mężczyznę czy jedną kobietę, tylko stworzył ludzkość, tak żeby byli mężczyźni i kobiety. Żeby mężczyzna szukał odruchowo dopełnienia w kobiecie i kobieta szukała dopełnienia w mężczyźnie, żeby byli na siebie otwarci, żeby ich życiem musiało być przyjmowanie i dawanie, bo obrazem Boga nie jest jeden człowiek, ale wspólnota. Wspólnota zwrócona ku sobie, dla siebie. A jak patrzymy na Boga w Starym Testamencie, to odkrywamy, że od samego początku Bóg jest zawsze Bogiem dla człowieka, co bardzo denerwuje filozofów. Rzecz polega na tym, że Bóg, który z definicji jest bytem doskonałym, Absolutem, nie może być „dla". A Bóg Starego Testamentu jest zawsze Bogiem „dla": dla człowieka, nawet dla świata w jakiś sposób. To samo się zaznacza w tym tekście, o którym mówiłam już, w imieniu Boga objawionym Mojżeszowi. Tam mówi Bóg: „Jestem tu dla was czy z wami, który będę tu z wami, dla was". Jest ta obecność „dla", obecność dynamiczna, nie statyczna. I to znowu się nie zgadza z obrazem Absolutu filozoficznego.

Jest jeszcze jedna rzecz, Mojżesz prosił Boga, by mu objawił swoją chwałę (por. Wj 33, 18). I Bóg mu odmówił, powiedział, że nie może zobaczyć Jego oblicza i żyć (w. 20). I wtedy mamy tę bardzo piękną scenę, kiedy Bóg chowa Mojżesza w szczelinie i zasłania go swoją ręką (oczywiście to jest obrazowe przedstawienie), przechodzi i mówi: „Jahwe, Jahwe, Bóg miłosierny i łagodny, nieskory do gniewu, bogaty w łaskę i wierność" (Wj 34, 6). Proszę zwrócić uwagę, że Bóg się objawia Mojżeszowi taki, jaki jest dla człowieka, miłosierny, łaskawy, nieskory do gniewu, a Mojżesz chciał zobaczyć istotę Boga, chciał Go zobaczyć takim, jaki jest sam w sobie. Chciał informacji. I coś trochę podobnego mamy z naszym własnym stosunkiem do Jezusa. Jezus przyszedł po to, żeby nam objawić Boga, tyle że na Boży sposób, a nie na nasz. To, co jest najważniejsze w posłaniu Jezusa, to nie jest udzielenie nam informacji, tylko zaproszenie nas

do udziału w wewnętrznym życiu Boga, a ten udział może nam pomóc zrozumieć coś z tej tajemnicy.

A teraz chcę zwrócić uwagę na pewien błąd: nam się często zdaje, że uczniowie Jezusa, jeżeli nie po Jego śmierci czy nawet nie po Jego zmartwychwstaniu, to przynajmniej po zesłaniu Ducha Świętego, już wszystko dokładnie wiedzieli. Tymczasem oni nie wiedzieli nic, przynajmniej jeżeli chodzi o tajemnicę, o której mówimy. Wiedzieli jedno, że Bóg jest jedyny, że nie może być trzech bogów i jak się wchodzi w dzieje Izraela, jak się siedzi w Piśmie Świętym Starego Testamentu, tak jak ja siedziałam przez ostatnie lata mojego życia, to się widzi, jak Bóg przygotowuje sobie ten naród, jak wykuwa ten monoteizm.

Bo niech się państwo nie łudzą, to nie było tak, że Abraham wiedział, że jest jedyny Bóg. Oni od czasów Abrahama prawdopodobnie wiedzieli, że mają oddawać cześć tylko Jahwe, że Jahwe jest Bogiem, któremu mają oddawać cześć. I że nie wolno im oddawać czci innym bogom. Przypomnę chociażby Dekalog: „Nie miej innych bogów przede Mną", to znaczy, że ci inni bogowie jednak byli. My nazywamy ten monoteizm monoteizmem praktycznym – wiedzieli, że mają oddawać cześć tylko Jahwe, ale inni bogowie ich ciągle kusili. Jahwe był wielkim Bogiem, przeprowadził ich przez pustynię, przyprowadził ich do Ziemi Obiecanej, ale w Ziemi Obiecanej było całe mnóstwo czczonych od dawna bogów, swego rodzaju gospodarzy. Każdy przedstawiciel każdego innego narodu, kiedy się zjawiał w nowym miejscu, to przede wszystkim oddawał cześć tym boskim gospodarzom.

Oddawanie czci miejscowym bogom to było więcej niż pokusa. Jahwe był dobry na pustyni, ale tutaj chodziło o żyzną ziemię, płodność bydła, płodność ludzi i można było mieć wątpliwości, czy aby ów Jahwe jest równie kompetentny w tych sprawach jak miejscowy Baal. Ta ciągła pokusa istniała. I ciekawa rzecz, trzeba było wygnania babilońskiego, momentu zburzenia Świątyni (zburzył ją król babiloński, stąd prosty wniosek, że główny bóg Babilonu Marduk jest potężniejszy od Jahwe, więc Jahwe powinien, jeżeli nie zniknąć, to stać się jednym z pomniejszych bogów w babilońskim panteonie), wygnania, by powstały najwspanialsze teksty monoteistyczne, jak pierwsza wersja stworzenia świata (Rdz 1, 1–2,

4), będąca wielkim hymnem na cześć jedynego Stwórcy nieba i ziemi. A cudowne teksty tak zwanego Drugiego Izajasza (Iz 40–55) to fantastyczne sformułowania monoteizmu.

Potem przyszedł drugi taki okres, już za panowania greckiego (II wiek przed Chrystusem), kiedy ówczesny król grecki Antioch IV Epifanes († 164/163 p.n.e.) zarządził wielkie prześladowanie religijne na terenie Palestyny, pierwsze tego typu prześladowanie w historii naszego kręgu kulturowego. To nie był jeden z licznych pogromów żydowskich, to było coś bez precedensu. Osobne zagadnienie to, skąd się to prześladowanie wzięło, my natomiast wiemy jedno, że Bogu było potrzebne to prześladowanie, takie ostateczne zahartowanie monoteizmu żydowskiego.

Państwo, nie będąc historykami, nie zdają sobie sprawy z tego, jakie to było trudne, żeby ten monoteizm się utrzymał, bo naokoło cały świat oddawał cześć mnóstwu bogów. Wielki, nieżyjący już, archeolog amerykański Albright napisał popularną książkę Archeologia Palestyny, w której mówi, że z punktu widzenia historii pragmatycznie nie można wytłumaczyć utrzymania się monoteizmu żydowskiego, bo Żydzi byli maleńkim ludem przeciwko całemu światu myślącemu inaczej niż oni. I właśnie trzeba było wygnania, trzeba było prześladowania, żeby ten lud wytrwał przy monoteizmie.

Tak samo uczniowie Jezusa po Jego śmierci, zmartwychwstaniu, po zesłaniu Ducha Świętego jednego byli pewni, że jeden jest Bóg. Ale zadawali sobie pytania, jak pogodzić, jak zrozumieć to, co Jezus im mówił o Ojcu, o sobie i o innym Paraklecie, Duchu Prawdy, który miał z nimi zostać na zawsze.

Najpierw odnośnie do Jezusa – nam się zdaje, że uczniowie wszystko wiedzieli. Ale oni wierzyli tylko, że Jezus jest Mesjaszem, bo Bóg poświadczył Jego posłannictwo, kiedy go wskrzesił. Ale kim naprawdę był ten człowiek? I tutaj rzecz charakterystyczna, sama to robiłam w swoim czasie, szukałam w Ewangelii słów Jezusa, gdzie by Jezus o sobie powiedział, że jest Bogiem. Czyżby Jezus miał się przedstawić: „Jestem drugą osobą Trójcy Świętej”? Przepraszam bardzo, ale ani słowo „Trójca Święta”, ani „osoba” nie należały do repertuaru słów wówczas istniejących. Trójca Święta jest to w ogóle termin teologiczny, to nie jest imię Boga, dlatego też w tytule naszego spotkania jest „Trójjedyny”, a nie Trójca Święta.

Jeżeli spojrzymy nie na to, co Jezus mówił, tylko na Jego postępowanie, to sprawa się przedstawia nieco inaczej i dopiero w kontekście Jego postępowania Jego słowa nabierają nowego znaczenia. Jezus był człowiekiem, który szedł z miłością do wszystkich nieczystych, których odtrącał oficjalny judaizm. Był człowiekiem, który odpuszczał grzechy jak sam Bóg, mianował się Panem szabatu, pozwalał sobie na pogłębienie czy poszerzenie Dekalogu. Potrafił powiedzieć, że jest kimś więcej niż Salomon, że jest kimś więcej niż Świątynia, a Świątynia to było miejsce mieszkania Boga. I człowiekiem, który mógł powiedzieć, że niebo i ziemia przeminą, a Jego słowa nie przeminą. Jaki człowiek może sobie na to pozwolić? Co więcej, od swoich uczniów żądał miłości większej od tej, jaka się należy rodzicom. O Bogu mówił zawsze „Ojciec", „Ojciec mój", kiedy mówił o sobie, a „Ojciec wasz", kiedy mówił o uczniach. O Bogu mówił „Abba". My dzisiaj, rozważając te słowa, dostrzegamy łatwiej, że w ten sposób mówiąc – „Abba", „Ojciec mój", „Ojciec wasz" – Jezus wyrażał wyjątkowość i wyłączność relacji, jaka tylko Jego łączyła z Ojcem.

My to rozumiemy, ale nie wyobrażajmy sobie, że rozumieli to od początku uczniowie Jezusa. Na pewno by się zgubili kompletnie, gdyby chcieli zbudować jakiś własny system religijny i filozoficzny. Na swoje szczęście pamiętali to, co Jezus im powiedział, że On jest drogą, prawdą i życiem i że dopiero Paraklet, kiedy przyjdzie, wprowadzi ich w całą prawdę. „Paraklet" jest to termin grecki (παρακλητος; przeszedł także do języka aramejskiego), który znaczy pocieszyciel, wspomożyciel, orędownik, adwokat.

„Pocieszyciel" to jest niesłychanie słabe słowo, otóż zstąpił Paraklet na nich w wichrze i w ogniu w dniu Pięćdziesiątnicy i wtedy poznali w Nim Ducha, obietnicę Ojca. I pojęli wiele z tego, czego wcześniej pojąć czy udźwignąć nie mogli, ale i to też nie nastąpiło tak od razu i tak łatwo. Tak jak Jezus im zapowiedział, Paraklet pozostał z nimi na zawsze i obecny w pierwszych wspólnotach przedziwnie łączył i spajał ze sobą ludzi często bardzo różnych. Muszę powiedzieć, że Duch Święty jest światłem, ale nie tylko, On jest tym, który tworzy wspólnotę, który sam jest jednością w Trójcy Świętej. I zrozumiałam niedawno, że moja grupa na Rakowieckiej staje się coraz bardziej wspólnotą. To jest Jego dzieło, to jest doświadczenie paradygmatu.

Widzą państwo, my mówimy, że nie widzimy działania Ducha Świętego. To nieprawda. To, co widzimy, to jest właśnie działanie Ducha Świętego. Jezus mówiąc o Duchu Świętym, używa słowa ruah, które po hebrajsku znaczy także wiatr. Mnie bardzo w zrozumieniu działania Ducha Świętego, przejawów działania Ducha Świętego pomogło opowiadanie, które kiedyś przeczytałam. Pewien ojciec został sam ze swoją 4-letnią córeczką. Miał jakąś ważną pracę do dokończenia i martwił się. Powiedział do żony, że jak zostanie z córką, to ona mu żyć nie da. „To powiedz jej, co ma rysować, to będzie ci rysować i będziesz miał spokój". Mała przyszła, a ojciec powiedział jej, żeby narysowała mu domek. Po paru minutach przyszła z narysowanym domkiem, więc poprosił ją o narysowanie pieska. Narysowała pieska. Potem poprosił ją o narysowanie samochodu. Narysowała samochód. Rysowała szybko, ciągle wracała, więc on się w końcu zdenerwował i chcąc się jej pozbyć na dłuższy czas, powiedział, żeby narysowała mu wiatr. Mała się zastanowiła, spojrzała na ojca i poszła rysować wiatr. Po jakimś czasie dziecko przyszło i przyniosło rysunek, a rysunek wyglądał tak: prosta kreska i od tej prostej kreski prostokąty mniejsze, większe, ale wszystkie prostokąty pod jednym kątem do tej kreski. Ojciec zrozumiał, co ona narysowała, ona narysowała sznur bielizny, gdzie cała bielizna jest odchylona przez wiatr. Zrozumiał, że ona rzeczywiście narysowała wiatr.

Widzą państwo, my w ten sposób widzimy Ducha Świętego, my nie widzimy Jego, ale widzimy Jego działanie, On jest tym, który nas wprowadza w tajemnice Boże. Oto na przykład jakieś zdanie czy jakaś prawda, którą myśmy wcześniej przyjmowali i akceptowali, godziliśmy się na nią, ale raptem nam się zapala coś od środka i widzimy ją zupełnie inaczej. Więcej, tego, co widzimy, nie jesteśmy w stanie przekazać drugim, dlatego że drugim możemy powiedzieć tylko to, cośmy przedtem też wiedzieli, natomiast to, co nam Duch Święty dał, możemy przekazać tylko tym, którzy tego samego doświadczyli, którzy już to wiedzą.

I to jest to, co nas łączy, czy może Ten, który nas łączy. Tak jak łączył pierwsze gminy chrześcijańskie. Kiedy pierwsi uczniowie Jezusa podejmowali jakieś ważne decyzje, to mieli tak wyraźną świadomość udziału Ducha, że pisali na przykład do gminy chrześcijańskiej w Antiochii, iż „Duch Święty i oni" postanowili (por.

Dz 15, 28). W przekładzie Biblii Tysiąclecia jest powiedziane „Postanowiliśmy, Duch Święty i my…", ale tekst oryginalny jest specjalnie ciekawy. Brzmi on bowiem jak początek uchwały greckiego miasta-państwa, tylko że uchwała greckiego miasta-państwa by brzmiała: „Rada i lud podjęły uchwałę". Tutaj Duch Święty jest bardzo osobowy, a cały kłopot polega na tym, że słowo oznaczające Ducha, pneuma po grecku i ruah po hebrajsku, ma bardzo różne znaczenia. Może oznaczać wiatr, może oznaczać tchnienie, może oznaczać ducha w znaczeniu ducha mocy. W wielu wypadkach trzeba się zastanawiać, czy mamy do czynienia z Duchem Świętym osobą, czy mamy do czynienia z czymś innym. Tutaj jednak nie ma wątpliwości. Jednocześnie trzeba powiedzieć, że nawet wtedy, kiedy tak pisali, nie mieli jeszcze żadnych gotowych dogmatów. Wiedzieli tylko jedno, że ich Bóg, Bóg jedyny, Bóg Abrahama, Izaaka, Jakuba jest w jakiś niepojęty dla nich sposób Ojcem, Synem i Duchem, że Duch – tak jak im obiecano – wprowadzał ich coraz głębiej w tajemnice Jezusa Chrystusa. I coraz lepiej rozumieli, że właśnie w tajemnicy Jezusa Chrystusa odnajdą wszystko.

Bo prawda jest taka, że my nigdy nic nie zrozumiemy z tajemnicy Trójcy Świętej, z tajemnicy Boga, jeżeli pójdziemy inną drogą niż droga, którą jest Jezus Chrystus (Jezus nie na darmo mówi o sobie „Ja jestem drogą, prawdą i życiem"[J 14, 6]). Trzeba się przyjrzeć Jezusowi, przyjrzeć się Jego życiu, On objawia wszystko każdym gestem swojego życia. Bo czyni to nie tylko tym, co mówi, ale także tym, co robi. On sam jest jednym wielkim objawieniem. Są takie słowa, o których zapominamy często, na przykład u św. Jana: „Syn nie może niczego czynić sam z siebie, jeśli nie widzi Ojca czyniącego" (5, 19); „Ten, który Mnie posłał, jest ze Mną; nie pozostawił Mnie samego, bo Ja zawsze czynię to, co się Jemu podoba" (8, 29); „Moim pokarmem jest wypełnić wolę Tego, który Mnie posłał" (4, 34). Jest tu całkowita zależność Syna od Ojca, a jednocześnie u tego samego Jana mamy i takie słowa: „Ja i Ojciec jedno jesteśmy" (J 10, 30).

Więc zależność czy jedność? Ta sprzeczność jest tylko pozorna, za często widzimy w posłuszeństwie przeciwieństwo wolności, a dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że nie rozumiemy dwóch słów: wolność i miłość. Wolność to nie jest bynajmniej robienie tego, co mi się chce, lecz tego, czego chcę naprawdę. To jest bardzo istotne rozróżnienie. Kiedy Jezus się modli w Ogrójcu, On nie chce iść na

śmierć, Jemu się tego nie chce, ale On chce pełnić wolę Ojca. To jest kwestia wolności: robić to, czego naprawdę chcę, a w kwestii miłości – każda miłość godna tego miana dąży do zjednoczenia. I drogą do tego zjednoczenia jest przede wszystkim zjednoczenie woli. Miłość zawsze pragnie chcieć tego, czego pragnie ten, kogo kochamy. Właśnie w ludzkiej miłości jest niebezpiecznie, bo kochany człowiek może chcieć czegoś złego dla siebie, dla mnie, dla kogoś innego. Natomiast z Bogiem takiego problemu nie ma.

To nieznające granicy posłuszeństwo Syna jest po prostu doskonałym wyrazem miłości, jak również Jego jedności z Ojcem. W Ewangelii według św. Mateusza mamy słowa wyrażające radość Jezusa: „Wysławiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi…" (11, 25). I zaraz potem mówi tak: „Wszystko przekazał Mi Ojciec mój. Nikt też nie zna Syna, tylko Ojciec, ani Ojca nikt nie zna, tylko Syn i ten, komu Syn zechce objawić" (w. 27).

Tutaj trzeba sobie powiedzieć, że „znać" po hebrajsku czy po aramejsku to nie jest nasze „znać". Dla nas „znać" to jest pojęcie intelektualne, ale gdy mówimy o poznaniu drugiego człowieka, przestaje ono być tylko intelektualnym poznaniem. Na to, żeby poznać drugiego człowieka, musimy z nim żyć, tu sam intelekt nie wystarczy, trzeba doświadczenia. Hebrajski czasownik „znać" wyraża także tę najbardziej intymną znajomość i zażyłość, jaką daje związek fizyczny mężczyzny i kobiety. Dlatego Maryja odpowiedziała Aniołowi: „Jakże się to stanie, skoro nie znam męża?" (Łk 1, 34). „Nie znam męża" – tylko trzeba wytłumaczyć, co to znaczy.

Gdy Jezus mówi, że nikt nie zna Syna oprócz Ojca ani Ojca nikt nie zna oprócz Syna, to mówi to samo, o czym już tutaj mówiliśmy. Mówi innymi słowami, że ta relacja, która łączy Go z Ojcem, jest czymś zupełnie wyjątkowym, jedynym. Jedna rzecz jest charakterystyczna, zaczynająca się od słów „Wszystko przekazał Mi Ojciec mój". Oznacza to, że ta relacja nie jest czymś, co Jezus zdobył lub stworzył, tylko czymś, co zostało Mu przekazane, dane przez Ojca. I o tej relacji mówi Jezus u św. Jana wielokrotnie, choć mówi inaczej. Słowami, którym na ogół przytakujemy, bo nam się zdają zupełnie niezrozumiałe. I tutaj może najwygodniej jest zacząć od rozmowy z Filipem, kiedy Filip poprosił Jezusa: „Panie, pokaż nam Ojca, a to nam wystarczy" (J 14, 8). To jest w gruncie rzeczy ta sama prośba,

którą w swoim czasie Mojżesz skierował do Boga, by pokazał mu swoją chwałę, swoje oblicze (por. Wj 33, 18). My byśmy się z Filipem zgodzili, „pokaż nam Ojca, a to nam wystarczy". Tymczasem Jezus powiedział Filipowi z wyraźnym wyrzutem: „Filipie, tak długo jestem z wami, a jeszcze Mnie nie poznałeś? Kto Mnie widzi, widzi także i Ojca" (J 14, 9). Co to znaczy? Naprawdę już nic nie rozumiemy, Jezus jest tutaj człowiekiem, zupełnie człowiekiem. To jest jeszcze za ziemskiego życia Jezusa. I Jezus mówi do Filipa: „Kto Mnie widzi, widzi także i Ojca". A dalej jest jeszcze gorzej. „Dlaczego mówisz: «Pokaż nam Ojca»? Czy nie wierzysz, że Ja jestem w Ojcu, a Ojciec we Mnie?" (J 14, 9–10). To są słowa, które się powtarzają u św. Jana wielokrotnie, „Ja w Ojcu, a Ojciec we Mnie". Co właściwie Jezus chce przez to powiedzieć?

Odpowiedzi szukam w tzw. Modlitwie arcykapłańskiej Chrystusa, w słowach „Wszystko moje jest Twoje, a Twoje jest moje". Chodzi niewątpliwie o wszystko, kim Jezus jest. To jest ta wspólnota życia i miłości, to jest więcej, niż mogą powiedzieć o sobie najbardziej, najgłębiej zżyci ze sobą małżonkowie. Bo człowiek nie jest zdolny sam w sobie do takiej wspólnoty. Taka wspólnota nazywa się po grecku κοινωνία, a po łacinie mamy słowo, które znamy w innym znaczeniu, communio, komunia.

Zauważyłam z radością, że nowy katechizm w polskim przekładzie posługuje się tym słowem właśnie w znaczeniu tej wspólnoty, gdzie wszystko jest wspólne. Chociaż po polsku komunia została związana z przyjmowaniem Eucharystii, to zobaczymy, że to nie jest tak zupełnie bez związku. Dalej będę mówiła zawsze o komunii tam, gdzie chodzi o wspólnotę, która nie jest tylko wspólnotą ludzi siedzących razem czy nawet bliskich sobie, ale takich, którzy mogą o sobie powiedzieć „wszystko moje jest twoje, a twoje moje".

Tak, tylko jedno pytanie, jak to w ogóle jest możliwe? A po drugie, jeżeli taka komunia istnieje między Ojcem i Synem, to w jaki sposób może to dotyczyć ludzi? I tutaj natrafiamy na wspaniały Boży paradoks, ta tajemnicza komunia Ojca i Syna została otwarta dla każdego człowieka z chwilą przyjścia na świat Jezusa Chrystusa, a właściwie z chwilą Jego śmierci i zmartwychwstania. Jeden z francuskich teologów powiedział, że Jezus nie zachowuje dla siebie swojej wyłącznej relacji z Ojcem i swojej pewności, że jest Synem, że wszystko od Ojca otrzymuje i wszystko Ojcu daje; przyszedł właśnie

po to, żeby objawić tę prawdę wszystkim ludziom, żeby nam pozwolić wejść w tę tajemnicę i w tę jedność, żeby nas zaprosić do udziału w życiu Ojca i Syna w Duchu Świętym. Jezus nieraz próbował ukazać to swoim uczniom, lecz dopiero światło zmartwychwstania i długie lata cierpliwej współpracy Ducha Świętego z nimi pozwoliły im to lepiej zrozumieć. Możemy tu zająć się tylko kilku wypowiedziami Jezusa. Oto Jezus mówi w Wieczerniku do uczniów: „Jeżeli Mnie miłujecie [wolę słowo „kochacie"], będziecie zachowywać moje przykazania" (J 14, 15). Ale nie chodzi tu o przykazania, jak jest w Biblii Tysiąclecia, lecz zostało tam użyte greckie słowo, które może znaczyć też polecenia. Dla nas przykazania to jest Dekalog, to są przykazania kościelne, natomiast jeżeli Ojciec daje Synowi polecenie, to przecież nie mówi, że Mu daje przykazanie. Tutaj są polecenia, życzenia, to jest to, czego Jezus chce od nas na co dzień. A kiedy pytamy Jezusa, czego od nas chce, jak możemy kochać Boga, którego nie widzimy, to odpowiedź znajdujemy u św. Jana: „Jeśliby ktoś mówił: «Miłuję Boga», a brata swego nienawidził, jest kłamcą, albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi, nie może miłować Boga, którego nie widzi" (1 J 4, 20).

I teraz zasadnicza rzecz, do czego się sprowadza definicja miłości. Na pewno w przypadku miłości człowieka to nie może być spełnianie wszystkich jego życzeń, bo nigdy nie wiadomo, czego człowiek sobie zażyczy. Żebyśmy kochali człowieka bezpiecznie, musimy zamknąć naszą miłość do człowieka w miłości Bożej i wtedy będziemy kochać drugiego człowieka tak, jak go kocha Bóg. To jest to niebezpieczeństwo, przed którym się trzeba strzec, natomiast w stosunku do Boga takiego niebezpieczeństwa nie ma. Jezus powiedział: „Kto ma przykazania moje i je zachowuje, ten Mnie miłuje" (J 14, 21).

Kochać to znaczy chcieć tego, czego On chce. Zrozumiałam to w pewnym bardzo trudnym okresie mego życia, w okresie pełnym łaski, w okresie choroby mojej matki. Zrozumiałam, że człowiek, który zgadza się z wolą Boga, rozumie to właśnie w ten sposób – chce tego, czego On chce. Jest taka prześliczna modlitwa jednego z papieży o imieniu Klemens, modlitwa, którą wydobył z zapomnienia Jan XXIII. To długa modlitwa, brzmi najpiękniej po łacinie, ale przytoczę po polsku jeden werset: „Chcę, czegokolwiek Ty chcesz, chcę tylko dlatego, że Ty chcesz, chcę w taki sposób, jak Ty chcesz, chcę tak

długo, jak Ty chcesz". Muszę dodać, że dla mnie zrozumienie tego, co to znaczy, nie jest jednoznaczne z tym, że to umiem. Wtedy, w okresie choroby mojej matki, miałam to, bo mi to dał Bóg, On mi to pokazał, On to za mnie robił niejako. Naprawdę wtedy chciałam tego, czego On chce. I pamiętam, że wtedy o. Augustyn [Jankowski] przyjechał do Warszawy, wyspowiadałam się u niego i powiedziałam mu, że się dziwię temu (bo nie wiązałam poleceń z miłością), iż naprawdę chcę tego, czego On chce. A ojciec odrzekł mi, że to właśnie jest miłość. Wtedy tego nie wiedziałam, to dla mnie było odkrycie, objawienie. Jezus do tego ciągle wraca, to może być bardzo trudne, ale to jest takie proste, „jeżeli kochacie Mnie, będziecie zachowywać moje polecenia". To właśnie znaczy, że miłość wyraża się w posłuszeństwie.

„Ja będę prosił Ojca, a innego Parakleta da wam, aby z wami był na zawsze – Ducha Prawdy, którego świat przyjąć nie może, ponieważ Go nie widzi ani nie zna" (J 14, 16–17a). To jest, proszę państwa, prawda, świat nie chwyta Ducha, nie widzi Ducha, ludzie, którzy są daleko od Boga, po prostu nie chwytają tego Boga, tego Ducha. „Ale wy Go znacie, ponieważ u was przebywa i w was będzie" (w. 17b). Wyobrażam sobie, jak ci uczniowie się wtedy zdziwili, gdy usłyszeli te słowa. Oni wcale nie wiedzieli, że Duch w nich mieszka. I dalej: „Nie zostawię was sierotami. Przyjdę do was. Jeszcze chwila, a świat nie będzie Mnie już widział. Ale wy Mnie widzicie, ponieważ Ja żyję i wy żyć będziecie. W owym dniu poznacie, że Ja jestem w Ojcu moim, a wy we Mnie i Ja w was" (J 14, 18–20). To Duch Święty, kiedy przyjdzie, tego was nauczy, pokaże wam, co to znaczy (por. J 16, 13). To jest ciągle ta sama wspólnotażycia, owo „wszystko moje jest twoje, a twoje moje". To znaczy (parafrazujemy tu słowa Jezusa), że każdy z was będzie mógł do Mnie powiedzieć „wszystko moje jest Twoje, a Twoje moje".

Cały kontekst wskazuje na to, że to właśnie nie kto inny, tylko Duch Prawdy otworzy przed uczniami tę przedziwną komunię stanowiącą tajemnicę życia wewnętrznego samego Boga. Otworzy i wprowadzi ich do niej. A ponieważ Jezus wie, jak trudno jest ludziom zrozumieć, co to jest miłość, to jeszcze raz wraca do tej miłości. Od miłości zależy dalsze objawienie Boga. „Kto ma przykazania moje i je zachowuje, ten Mnie miłuje. Kto zaś Mnie miłuje, ten będzie umiłowany przez Ojca mego, a również Ja będę go miłował i objawię

mu siebie. (…) Jeśli Mnie kto miłuje, będzie zachowywał moją naukę, a Ojciec mój umiłuje go i przyjdziemy do niego i mieszkanie u niego uczynimy" (J 14, 21. 23). Tu jest objawienie wszystkich trzech Osób Trójcy Świętej: Parakleta, Syna i Ojca.

Można już powiedzieć, że w tym momencie powinniśmy móc zrozumieć, co to znaczy, że Bóg jest miłością. Napisze to św. Jan w swoim Pierwszym Liście: „Bóg jest miłością, kto trwa w miłości, trwa w Bogu, a Bóg trwa w nim" (1 J 4, 16). Nam się często zdaje, że to jest taka piękna piosenka, a co to właściwie znaczy? Chcę tylko przypomnieć definicję miłości, jaką podał o. [François] Varillon, że kochać to znaczy nie brać, a przyjmować i dawać. Właśnie ta wspólnota, którą nazywamy komunią, gdzie wszystko moje jest twoje, a twoje jest moje, nie tylko to, co mam, ale i to, czym jestem, to jest właśnie nieskończone przyjmowanie i dawanie. Bo z przyjmowaniem to mamy taki kłopot, że po polsku mamy tylko jedno słowo. Jak ktoś mi daje książkę, to ją przyjmuję, i przyjmuję także drugiego człowieka, a to jest zupełnie inne przyjmowanie. Właśnie chodzi o to drugie przyjmowanie, przyjmowanie także tego, co ten człowiek mi daje. I to jest tajemnica miłości i w tajemnicy Trójcy Świętej jest odwieczne przyjmowanie i dawanie.

Posłuszeństwo otwiera nasze „ja”

Obecnie chcę wrócić do tego, że Jezus widzi wyraz miłości w posłuszeństwie, i chyba jest tak przede wszystkim dlatego, że właśnie posłuszeństwo jest aktem woli, który niejako otwiera drzwi naszego „ja”, tego zamkniętego w sobie „ja”. I tutaj łączy mi się to z definicją o. Varillona, że miłość to jest przyjmowanie i dawanie. Jeżeli przyjmujemy człowieka, to w tym człowieku przychodzi do nas zawsze Bóg bez względu na to, kim jest ten człowiek, a dawać trzeba wszystko, siebie samego również, i taka jest właśnie droga Jezusa. Przytoczę teraz zdanie pewnego teologa: „Będąc objawieniem miłości Ojca w życiu człowieka, mógł On nadać swojemu istnieniu jedną tylko formę, istnienia oddanego bez reszty miłości innych, miłości idącej aż do końca”.

„Umiłowawszy swoich, do końca ich umiłował” (por. J 13, 1). To ważne słowa św. Jana, bo Jezus dobrze wiedział, że w sprawach miłości jesteśmy bardzo niepojętni, bo ciągle będziemy identyfikować, utożsamiać miłość z uczuciem. Z uczuciem, które jest bardzo potrzebne, bardzo dobre, ale które nam może tylko pomagać kochać, a nie stanowi istoty miłości. Powracał też Jezus do tego tematu wielokrotnie i także w wielkiej mowie o chlebie życia, gdzie powiedział: „Kto spożywa moje Ciało i Krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim” (J 6, 56). Mamy znowu to „we Mnie”, „on we Mnie, a Ja w nim”. A potem to zdanie objaśnia następująco: „Jak Mnie posłał żyjący Ojciec, a Ja żyję przez [dla] Ojca, tak i ten, kto Mnie spożywa, będzie żył przeze [dla] Mnie” (w. 57). Tutaj mogą być państwo troszkę zdziwieni, bo przywykliśmy do tłumaczenia „żyję przez Ojca, żyje przeze Mnie” w Biblii Tysiąclecia. W biblijnym przypisie mamy odnośnik, gdzie jest powiedziane, że inni tłumaczą „dla”, tyle tylko że to nie jest dobry odnośnik. Dlatego że naprawdę użyte tu greckie słówko δια znaczy zarówno „przez”, jak i „dla”. I dlatego właśnie tłumaczę to „Ja żyję przez Ojca i dla Ojca. I ten, kto będzie spożywał Ciało moje, żyć będzie przeze Mnie i dla Mnie”.

Co to znaczy, że Jezus żyje przez Ojca? Dla Jezusa wola Ojca jest pokarmem, źródłem siły i po prostu samego istnienia, w każdej chwili żyje Jezus tym, co Ojciec Mu daje i czego Ojciec od Niego oczekuje. Żyje przez Ojca, można by powiedzieć, że żyje Ojcem po prostu, bez Niego nie mógłby istnieć, tak jak my nie moglibyśmy żyć bez powietrza. I tak się dzieje, że w ten sposób żyje przez Ojca aż do ostatniego tchnienia na krzyżu i dobrowolnie przyjętej okrutnej ludzkiej śmierci. On zawsze jest cały bez reszty dla Ojca.

Nazbyt często widzimy w śmierci Jezusa przede wszystkim cierpienie, zupełnie tak jakby Ojciec mógł się lubować cierpieniem Syna. Tymczasem śmierć Jezusa na krzyżu jest przede wszystkim ostatecznym otwarciem, pełnym wyrazem miłości. Właśnie przez Ojca i dla Ojca doskonałym przyjęciem wszystkiego, czego Ojciec chce, i Ojca samego oraz doskonałym oddaniem się Ojcu. Jezus w swoim życiu człowieczym jest zawsze tym, kim jest od wieczności. Dlatego to Jezus może mówić, że Ojciec jest w Nim, a On w Ojcu, i jeżeli my będziemy żyć podobnie do Niego, przez Niego i dla Niego, wówczas i my zostaniemy wciągnięci w to święto, w ten taniec nieskończonej miłości.

Nie na darmo teologowie Wschodu użyli na wyrażenie wewnętrznego życia Boga, Trójcy Świętej greckiego słowa perichoresis, które oznacza to wzajemne przyjmowanie i oddawanie – Ojciec i Syn w Duchu Świętym. Ale jeżeli możemy żyć na Jego wzór, to dlatego, że Bóg stworzył nas na swój obraz. Stworzył nas mężczyzną i kobietą i to sprawia, że możemy z całym naszym człowieczeństwem, całym naszym psychofizycznym „ja” dążyć do tego, nawet podświadomie, do tego nieustannego przyjmowania i dawania. A tym nieustannym przyjmowaniem i dawaniem jest także odwieczna radość Trójjedynego Boga. To jest to, co czujemy w sobie od początku do końca, my chcemy przyjmować i dawać, nawet kiedy tego nie wiemy, kiedy nie zdajemy sobie sprawy, kiedy robimy z tego karykaturę czy w ogóle kiedy popełniamy świętokradztwo w miłości mężczyzny i kobiety.

W moim życiu jest coś bardzo cennego, byłam wtedy w pierwszej klasie gimnazjalnej i wtedy ta klasa po raz pierwszy uczestniczyła w rekolekcjach ogólnoszkolnych. I nasz prefekt, bardzo mądry ksiądz, młody wtedy jeszcze ks. Stefan Piotrowski, późniejszy wieloletni

wikariusz generalny w archidiecezji warszawskiej, mówił między innymi o „życiu zmysłowym”, dzisiaj by się powiedziało życiu seksualnym. Ja wtedy nie bardzo wiedziałam, że jemu o to chodzi, ale się domyślałam. I on mówił nam, dziewczynom różnego wieku, bo to była szkoła żeńska, że życie zmysłowe to świętość, i jednocześnie ostrzegał, że nadużycie świętości jest świętokradztwem. I to, co się w tej chwili dzieje w tej dziedzinie życia, to jest nie tylko grzech zwykły, nie tylko zło, które zniekształca człowieczeństwo, ale to jest świętokradztwo. Bo my jesteśmy stworzeni dla siebie nawzajem i nawet ci z nas, którzy są prowadzeni drogą samotną, którzy są powołani do życia w absolutnej czystości, właśnie dlatego mogą to powołanie spełniać, że są stworzeni do przyjmowania i dawania. To jest tajemnica miłości, tej prawdziwej miłości.

I może teraz trochę lepiej zrozumiemy słowa Jezusa, który mówił w Modlitwie arcykapłańskiej: „Aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojcze, we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili w Nas jedno, by świat uwierzył, że Ty Mnie posłałeś. I także chwałę, którą Mi dałeś, przekazałem im, aby stanowili jedno, tak jak My jedno stanowimy. Ja w nich, a Ty we Mnie! Oby się tak zespolili w jedno, aby świat poznał, żeś Ty Mnie posłał i że Ty ich umiłowałeś, tak jak Mnie umiłowałeś” (J 17, 21–23).

Konstytucja soborowa o Kościele w świecie współczesnym, opierając się na tych słowach właśnie, mówi, że wzorem jedności dla wspólnoty ludzkiej jest jedność samej Trójcy Świętej (por. KDK 24). A jeśli w świecie jest tak mało tej jedności, jest tak wiele zła i niewiary, to może dlatego, że jesteśmy daleko od tego wzoru. Co więcej, tak często i tak niemądrze skłonni jesteśmy uważać, że dając, możemy stracić, a przyjmując, poniżamy się. Pragniemy być samodzielni, niezależni, zapominając całkowicie o słowach Jezusa ostrzegających, że kto za wszelką cenę chce zachować życie, ten może je łatwo stracić czy, mówiąc dzisiejszym językiem, zmarnować. Nie na darmo w tej samej konstytucji Sobór przypomniał także, że człowiek staje się w pełni człowiekiem dopiero przez całkowity dar z siebie, to jest właśnie to pełne otwarcie na przyjmowanie i dawanie.

Otóż to przyjmowanie i dawanie, to otwarcie na innego jest sprzeczne z filozoficznym obrazem Absolutu, bytu doskonałego. Leszek Kołakowski w książce Jeśli Boga nie ma napisał, że z

chrześcijańskiego punktu widzenia pojęcie historycznego Boga wydaje się wewnętrznie sprzeczne (i tu nie ma racji), gdyż Absolut jest na mocy definicji antyczną pełnią, której niczego nie brakuje, która niczego nie pragnie, jest niewzruszona. W tym punkcie jednak Bóg chrześcijański nigdy nie był wolny od niejasności, jest On nade wszystko miłością, a miłość wymaga dwojga. Otóż z punktu widzenia chrześcijańskiego ta sprzeczność rozwiązuje się w tajemnicy Trójcy Świętej, to jest właśnie odpowiedź. Dlatego nie mam pretensji do Kołakowskiego za to zdanie, wręcz przeciwnie, jestem mu za nie wdzięczna, tylko popełnia błąd, mówiąc, że to jest z chrześcijańskiego punktu widzenia, bo z chrześcijańskiego punktu widzenia odpowiedzią, a właściwie rozwiązaniem tej sprzeczności jest tajemnica Boga Trójjedynego.

Filozofia grecka, a za nią europejska doszła do pojęcia bytu jedynego, Boga jedynego. Tym Bogiem jedynym jest Absolut, spoczywający sam w sobie byt doskonały, który niczego nie potrzebuje, a zatem i niczego nie kocha, jest jednością statyczną, zamkniętą w sobie, bez odniesienia do świata, nie jest osobą. Osoba bowiem może istnieć tylko tam, gdzie jest na kogoś otwarcie, gdzie jest zwrot do kogoś, gdzie jest życie w relacji. I bardzo prosty obraz, wyobraźmy sobie przedział kolejowy, w przedziale siedzi parę osób, każda osoba jest zamknięta w sobie, zajęta sobą i jest obecna, ale właściwie jest obecna tak jak bagaż na półce, jest taką obecnością statyczną. A teraz wyobraźmy sobie, że coś się stanie, że ktoś zasłabnie albo będzie jakiś wypadek i raptem te osoby się na siebie otwierają, stają się właśnie osobami, stają się pełniej ludźmi.

Jeżeli takie otwarcie na drugiego człowieka pozwala nam się stać pełniej osobą, prawdziwie człowiekiem, czym może być otwarcie na Boga Trójjedynego, który jest Absolutem, lecz odmiennie od Boga filozofów jest Absolutem miłości, jednością dynamiczną Ojca, Syna w Duchu Świętym, nieskończonym, odwiecznym przyjmowaniem i dawaniem? I my mamy się przez całe życie takiego właśnie otwarcia uczyć. Co to znaczy? Mamy się uczyć otwarcia, otwierając się na naszych braci.

Nieraz się zastanawiamy, jak możliwe jest kochać człowieka, który jest dla nas niesympatyczny czy nawet gorzej. Przecież uczucia nie można sobie nakazać! Oczywiście nie chodzi tu o uczucia. Wystarczy

zrozumieć, o co naprawdę chodzi, i po prostu próbować najpierw tego człowieka przyjąć. Ja nie mówię, że koniecznie przyjąć w domu; przyjąć to znaczy przyjąć go takim, jakim jest naprawdę. To znowu nie znaczy powiedzieć, że robi dobrze, jeśli robi źle. Każdy z nas wie, co to znaczy, bo każdy z nas chce być przyjęty przez drugiego człowieka, a potem naprawdę dać mu siebie. I takie codzienne, niekiedy trudne, często nieudane przyjmowanie i dawanie jest dla nas praktycznym wchodzeniem w życie Trójjedynego. Miłość bliźniego to niejako korepetycje, które mają nas nauczyć żyć życiem samego Boga, żyć tym odwiecznym przyjmowaniem i dawaniem. I w ten sposób widzimy, że przykazanie miłości bliźniego zarówno wypływa z tajemnicy Trójcy, jak i do niej z powrotem prowadzi. A uczy nas tego nie kto inny tylko Duch Święty, w którym wołamy „Abba, Ojcze", jak pisze św. Paweł w Liście do Rzymian (8, 15) i Liście do Galatów (4, 6). Przecież ten Duch jest w Trójcy Świętej osobowym dawaniem i przyjmowaniem, przyjmowaniem i dawaniem, jest w Niej komunią.

Zbawienie to zaproszenie do komunii samego Boga

Warto zwrócić uwagę na słowa, którymi na początku Mszy ksiądz często się do nas zwraca: „Miłość Boga Ojca, łaska naszego Pana Jezusa Chrystusa i dar jedności w Duchu Świętym niech będą z wami wszystkimi”. To jest cytat ze św. Pawła (por. 2 Kor 13, 13). W tekście biblijnym ten tekst brzmi troszkę inaczej, przede wszystkim, to jest najmniej ważne, jest zmieniona kolejność: „Łaska Pana Jezusa Chrystusa, miłość Boga i komunia Ducha Świętego niech będą z wami wszystkimi”. Otóż to, komunia została zastąpiona tutaj przez dar jedności w Duchu Świętym. Nie mam pretensji, dlatego że komunia potocznie znaczy dla nas co innego i ludzie by nie rozumieli, o co chodzi. Natomiast nie wiem, dlaczego w polskim tekście jest „dar jedności w Duchu Świętym”, a [nie] „dar jedności Ducha Świętego”, bo właśnie Duch Święty jest tym darem, jest tą jednością, ten Duch, który jest jednością Jedynego. To życzenie św. Pawła jest życzeniem zbawienia, Paweł życzy nam tutaj tego, co zwykliśmy nazywać zbawieniem.

My bardzo często źle rozumiemy zbawienie. Często posługujemy się takim niedoskonałym, niewystarczającym obrazem, że zbawienie to taka sytuacja, jak na przykład ktoś tonie i już nie może się sam wyratować, a wtedy ktoś drugi skacze do wody i wyciąga go. Zbawienie to jest uratowanie w sytuacji, w której my się sami uratować nie możemy, to jest prawda, tylko że to jest połowa prawdy, a może nawet mniej niż połowa. Zbawienie to jest komunia, to zaproszenie do komunii samego Boga, do życia życiem Trójjedynego. Chrystus umarł po to, by wprowadzić ludzi w komunię Ducha Świętego, która stanowi o życiu Boga, w komunię Ducha Świętego, która jest tą przedziwną wspólnotą życia i miłości Boga Najwyższego, gdzie każdy może powiedzieć o sobie „wszystko moje twoje jest i wszystko twoje moje”.

Kiedy myślimy czy mówimy o szczęściu wiecznym, najczęściej mówimy o wizji uszczęśliwiającej, i dobrze robimy. Ten obraz wizji

uszczęśliwiającej spotykamy w Nowym Testamencie, chociażby u św. Jana: „Umiłowani, obecnie jesteśmy dziećmi Bożymi, ale jeszcze się nie ujawniło, czym będziemy. Wiemy, że gdy się objawi, będziemy do Niego podobni, bo ujrzymy Go takim, jakim jest" (1 J 3, 2). A św. Paweł wielki hymn na cześć miłości kończy słowami: „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś ujrzymy twarzą w twarz. Teraz poznaję po części, wtedy zaś będę poznawał tak, jak sam zostałem poznany" (1 Kor 13, 12) – oczywiście poznany przez Boga i to poznanie – przypominam – nie jest tylko intelektualne, lecz jest to poznanie istotowe, całym sobą.

Poznać Boga to uczestniczyć w Jego życiu, w tajemnicy Ojca, Syna i Ducha Świętego. I tutaj żeby zrozumieć, co to znaczy, przychodzi nam z pomocą inny obraz, bardzo częsty w Piśmie Świętym, tylko my go najczęściej nie rozumiemy i nad nim przeskakujemy. Już w Biblii hebrajskiej prorocy nieraz zapowiadają wielką eschatologiczną ucztę zbawienia, widząc w tej uczcie jakby ostateczne dopełnienie przymierza. Na przykład prorok Izajasz napisał: „Pan Zastępów przygotuje dla wszystkich ludów na tej górze [to znaczy na Syjonie] ucztę z tłustego mięsa, ucztę z wybornych win, z najpożywniejszego mięsa, z najwyborniejszych win. Zedrze On na tej górze zasłonę, zapuszczoną na twarz wszystkich ludów, i całun, który okrywał wszystkie narody; raz na zawsze zniszczy śmierć. Wtedy Pan Bóg otrze łzy z każdego oblicza, zdejmie hańbę ze swego ludu na całej ziemi, bo Pan przyrzekł. I powiedzą w owym dniu: Oto nasz Bóg, Ten, któremu zaufaliśmy, że nas wybawi; oto Pan, w którym złożyliśmy naszą ufność; cieszmy się i radujmy się z Jego zbawienia" (Iz 25, 8–9). Widzimy, że uczta jest już tutaj obrazem zbawienia.

Wzmianki o jakiejś tajemniczej uczcie spotykamy też w Nowym Testamencie, tylko na ogół przeskakujemy nad nimi, bo ich nie rozumiemy. Na przykład w Ewangelii według św. Mateusza, kiedy Jezus spotyka setnika i jest pełen podziwu dla wiary tego setnika, mówi: „Powiadam wam: Wielu przyjdzie ze wschodu i z zachodu i zasiądą do stołu z Abrahamem, Izaakiem i Jakubem w królestwie niebieskim" (Mt 8, 11). My tutaj widzimy zazwyczaj tylko zapowiedź, że razem z synami Izraela dostąpią zbawienia ci, co przyjdą ze wschodu i z zachodu, to znaczy poganie, niezliczone dzieci Boże

spoza narodu wybranego, a nie zastanawiamy się nad tym, co znaczy ta uczta, w ogóle jej nie widzimy.

W Ewangelii według św. Łukasza Jezus na Ostatniej Wieczerzy po ustanowieniu Najświętszego Sakramentu powiedział: „Ja przekazuję wam królestwo, jak Mnie przekazał je mój Ojciec: abyście w królestwie moim jedli i pili przy moim stole" (Łk 22, 29–30). O co chodzi? Obraz uczty spotykamy bardzo często także w przypowieściach, a ponieważ nie mogę wszystkich tych miejsc omawiać, to przypomnę tylko jedną przypowieść Łukaszową o sługach, którzy czekają na powrót pana z godów (to też jest ważne), czekają z pochodniami w ręku i z przepasanymi biodrami w pełnej gotowości (por. Łk 12, 35–40). I czekanie zostało nagrodzone: „Szczęśliwi owi słudzy, których pan zastanie czuwających, gdy nadejdzie. Zaprawdę, powiadam wam: Przepasze się i każe im zasiąść do stołu, a obchodząc, będzie im usługiwał" (w. 37). O ile obraz sług czekających na swojego pana jest całkiem realistyczny, o tyle żaden pan nie zachowa się tak jak ten z przypowieści, nie ułoży swoich sług na sofach przy stole i nie będzie im usługiwał. Bo tutaj zakończenie już przekracza rzeczywistość ziemską. Widzimy tu niewątpliwie ucztę w królestwie niebieskim, a posługującym panem jest ten sam, który w Ewangelii według św. Jana umywa nogi swoim uczniom (por. J 13, 1–11).

Z obrazem uczty spotykamy się znacznie częściej, niż nam się zdaje. Kiedy idziemy do Komunii, najczęściej słyszymy słowa księdza „Błogosławieni, którzy zostali wezwani na ucztę Baranka". Wiem, że księża mogą zmieniać pewne słowa, ale zawsze boleję, kiedy te słowa zostają zmienione, dlatego że to świadczy o tym, iż ksiądz, który te słowa zmienia, nie rozumie ich lub rozumie je tak, jak na ogół rozumieją je wierni, że jest to zaproszenie do stołu Pańskiego. Rzeczywiście to jest zaproszenie do stołu Pańskiego, ale nie tylko. Jest to znowu cytat biblijny z Apokalipsy (19, 9), ale dla jaśniejszego dostrzeżenia kontekstu trzeba przywołać też w. 7, gdzie mowa jest o Godach Baranka. A zatem kiedy słyszymy te słowa z ust księdza, to jest to naprawdę zaproszenie na wielką ucztę weselną w królestwie niebieskim, a zadatkiem jest przyjmowane przez nas Ciało Chrystusa. To, co zazwyczaj nazywamy Komunią świętą, jest komunią

rzeczywiście, ale jednocześnie jest zapowiedzią pełnego udziału w komunii Trójjedynego.

Zastanówmy się teraz nad obrazem uczty, dlaczego uczta? Dzisiaj zagubiliśmy już w znacznej mierze sens wspólnego posiłku rodzinnego, bo ludzie nie mają czasu, w rodzinach na ogół nie ma wspólnego posiłku, ale na szczęście coś nam zostało. Została nam wieczerza wigilijna i jeżeli ktoś z uczestników jest smutny albo nadęty, obrażony, to od razu się psuje nastrój. Bo nam ten nastrój się udziela i tak samo udziela się radość, może jeszcze bardziej. I to jest moment, kiedy wszyscy jesteśmy razem, kiedy jesteśmy otwarci na siebie nie tylko zewnętrznie, kiedy jesteśmy gotowi sobie służyć. Taka wieczerza to rzeczywiście wzajemne przyjmowanie i dawanie, przyjmowanie i dawanie drobnych prezentów, przyjmowanie podsuwanych nam potraw i podawanie tych potraw dalej, przyjmowanie tych, którzy wkoło nas siedzą, i dawanie im samego siebie. Radość wszystkich jest tutaj radością każdego, a radość każdego jest radością wszystkich, jest to odległy obraz tego, co może oznaczać uczestnictwo w życiu Boga, w wieczystej komunii Ojca i Syna w Duchu Świętym, gdzie radość każdego będzie radością wszystkich i radością Boga samego.

I to jest właśnie zbawienie, ta komunia to jest właśnie zbawienie. Można skończyć apelem, byśmy dojrzewali do tej komunii, byśmy pozwalali się prowadzić jak dzieci Duchowi Prawdy (por. Rz 8, 14), byśmy otwierali się w każdej chwili na nieustanne przyjmowanie i dawanie. To przyjmowanie i dawanie w życiu codziennym będzie bardzo często nieudane, koślawe, ale wracajmy do tego, nie uda się raz, wracajmy po raz drugi, po raz trzeci, bo to jest niezmiernie ważne. Bo to, co jest ważne w życiu z Bogiem, to nie nasza doskonałość, tylko ciągłe staranie się, nie nasza wierność, tylko ciągła walka o zachowanie tej wierności, o powrót do tej wierności, wierność w walce o wierność. W ten sposób pozwolimy Duchowi Świętemu się prowadzić, a wtedy wszystko będzie nam pomagać do dobrego (por. Rz 8, 28). Nawet te rzeczy, które się wydają złe, to znaczy cierpienie, choroba, to, co w nas godzi w jakiś sposób, jeżeli potrafimy otwierać się na Boga, na ludzi na miarę, na jaką potrafimy, to one będą nam pomagać do dobrego. A kiedy w godzinie śmierci przyjdzie nam spotkać się z Panem, będzie to po prostu

najprawdziwsze, ostateczne już otwarcie na wieczne przyjmowanie i dawanie. I możemy mieć nadzieję, że wtedy usłyszymy z Jego ust „wszystko Moje twoje jest, a twoje Moje”.

To, na czym mi bardzo zależało, to pokazanie państwu, że z jednej strony właśnie przez tę tajemnicę tłumaczy się przykazanie miłości bliźniego, a z drugiej strony nas tak uczono, iż trzeba przekreślać własny interes, żeby służyć innym. Tymczasem to nie tak jest, to jest właśnie nasz interes, żebyśmy służyli innym, to jest ten nasz prawdziwy interes, to jest to, co Jezus mówił, że kto chce swoje życie zachować, ten je straci, a kto je straci, ten je ocali.

I zdarzają się tu rzeczy czasem śmieszne. Otóż powiem państwu, kiedy zrozumiałam, co to znaczy to tracenie i dlaczego. Ja w ogóle nie umiem gotować i powiedzmy sobie, że może gdybym miała okazję i się nauczyła gotować, może bym nawet lubiła, ale ponieważ nigdy się nie nauczyłam, więc nie lubię. I zawsze, kiedy musiałam coś ugotować, to była dla mnie strata czasu. Pamiętam, to było jeszcze za życia mojej matki, kiedy miała jakąś przypadłość żołądkową, a ja stałam przy kuchni i robiłam dla niej kleik. I raptem mnie ogarnęła nieprzytomna radość właśnie dlatego, że robię ten kleik dla matki, i wtedy zrozumiałam, że jeżeli się robi coś dla kogoś, jeżeli się daje i przyjmuje, nawet jeżeli niesie to ze sobą wyrzeczenie, pewną niewygodę, to jest to coś, co się stokrotnie opłaci.

A teraz czas na pytania.

Pytania

Kobieta: Chodzi o sprawę rozpoznania, dlaczego św. Maria Magdalena, która była obecna przy śmierci Pana Jezusa, niemalże nie rozpoznała Go po Zmartwychwstaniu. I co znaczą słowa wypowiedziane przez Pana Jezusa „Nie dotykaj mnie". A z tym wiąże się następna sprawa, dlaczego uczniowie, którzy szli do Emaus, którzy może już nie byli tak rozemocjonowani jak Magdalena, też Go nie poznali, lecz dopiero poznali po łamaniu chleba. Chodzi mi też o kwestię przemienienia. Jak uczniowie, którzy byli obecni na górze Tabor, rozpoznali, że ukazał się Mojżesz i Eliasz, skoro nie mogli ich rozpoznać jakby wizualnie? I chciałabym się jeszcze dowiedzieć, czy w Piśmie Świętym jest informacja, jak my po zmartwychwstaniu się rozpoznamy. Myślę, że to się wiąże w całość.

Anna Świderkówna: Proszę pani, na pewno się wiąże w całość. Zacznę od pytania przedostatniego, jak uczniowie poznali, że chodzi o Eliasza i Mojżesza. To było dosyć proste, tak sobie wyobrażam przynajmniej. Po prostu pobożni Żydzi mieli konkretne wyobrażenie, jak ma wyglądać Mojżesz, jakie ma mieć atrybuty. Obie te postacie były tak mocno wryte w wyobraźnię, że sprawa była bardzo prosta.

Natomiast to, co pani poruszyła na początku, to jest rzecz bardzo istotna. Otóż nam się bardzo często zdaje, nawet niektórzy mądrzy ludzie, jak piszą o zmartwychwstaniu Jezusa, to można odnieść wrażenie, że Jezus wyszedł z grobu trochę tak jak Łazarz. Tymczasem to było zupełnie co innego. Jezus wskrzesił Łazarza, młodzieńca z Nain, córeczkę Jaira. Obudził ich do życia, w dodatku wskrzeszenie Łazarza było najbardziej spektakularne, bo miało miejsce po kilku dniach, ale to był powrót. Ci ludzie wrócili do swojego normalnego, ludzkiego życia, po czym żyli dłużej czy krócej i w końcu umarli. Po wskrzeszeniu nie byli inni niż przed wskrzeszeniem, może byli inni wewnętrznie, to jest inna sprawa, ale jeżeli chodzi o ich osobowość psychofizyczną, to było to to samo. Bo to był powrót do życia. Natomiast zmartwychwstanie Jezusa nie było powrotem do życia dawnego, tylko przejściem przez śmierć na zupełnie nową płaszczyznę życia, do życia zupełnie nowego, zupełnie innego. I tu jest, proszę państwa, ten podstawowy błąd, który popełniamy, a przed którym nas ostrzegają ewangeliści właśnie w ten sposób, że

Maria Magdalena nie poznaje Jezusa. Były takie próby tłumaczenia, że było rano, była mgła, i nie poznała. Ale to nie o to chodzi.

Dlaczego uczniowie z Emaus nie rozpoznali towarzysza drogi, który z nimi rozmawiał, choć trwało to dosyć długo? Poznali go przy łamaniu chleba, a nie poznali wcześniej. U św. Jana jest takie wydarzenie znad brzegu Jeziora Galilejskiego (J 21, 1–14). Uczniowie przebywali w łodzi, w pewnej chwili Jan powiedział do Piotra, że Pan tu jest, więc Piotr od razu skoczył do wody, a pozostali dopłynęli do brzegu. Jezus zapytał ich, czy mają coś do zjedzenia. I jest takie zdanie w Ewangelii: „Żaden z uczniów nie odważył się zadać Mu pytania: «Kto Ty jesteś?», bo wiedzieli, że to jest Pan" (w. 12). Widocznie jednak nie widzieli tego, skoro nikt nie postawił takiego pytania. I wreszcie zakończenie Ewangelii według św. Mateusza, kiedy się spotkali na górze w Galilei i jedni wierzyli, a drudzy wątpili. Spotkali się z Jezusem, ze Zmartwychwstałym, a wątpili. Dlaczego? To się wiąże ze słowami Jezusa wypowiedzianymi do Marii Magdaleny. Słowa te zostały oczywiście wypowiedziane po aramejsku, ale my mamy tylko tekst grecki. Łacińskie tłumaczenie nie jest najlepsze, noli me tangere, to znaczy „nie dotykaj mnie". Otóż po grecku to jest μημου απτου, me mu haptu, co znaczy dosłownie „nie czepiaj się mnie". Nie w tym znaczeniu złym, jak my mówimy, tylko „nie chwytaj się mnie", nawet nie to, że nie dotykaj. Według mojej interpretacji to znaczy: „Nie czepiaj się tego obrazu mojego, który masz, bo Ja nie będę już z wami".

Niech państwo wezmą jedną rzecz pod uwagę, że uczniowie wszyscy, wszystkie kobiety chciały mieć tego Jezusa z powrotem takiego samego jak przedtem. Takiego, do jakiego przywykły, a On taki już nie jest, On jest przemieniony. To się wyraża zewnętrznie, to nie jest najistotniejsze, że On przychodzi, kiedy są drzwi zamknięte, ale to jest też wyraz tego, że to jest Ten sam i nie Ten sam. Bo On jest przemieniony.

Proszę państwa, to jest także nauka dla nas, bo my chcielibyśmy Jezusa takiego starszego braciszka, którego zawsze zrozumiemy, który nam zawsze wszystko wytłumaczy, i jeżeli nawet nam nie pomoże, bo czasem może nie pomóc, to zawsze będzie nas głaskał po główce, a tak nie jest! To jest ten sam Jezus, ale Jezus, którego cała

ludzka natura, całe człowieczeństwo jest przemienione, jest przebóstwione. To jest odpowiedź na ostatnie pani pytanie.

Warto tu jeszcze poruszyć sprawę, która zajmowała starożytnych Greków i którą starał się wyjaśnić św. Paweł. Dla Koryntian, ochrzczonych pogan, do których Paweł pisał (1 Kor 15), zmartwychwstanie było problemem niepokojącym, ponieważ dla Greka, większości przynajmniej Greków, człowiek się składał z nieśmiertelnej duszy i zniszczalnego ciała. To ciało było tylko obciążeniem dla duszy i dusza była szczęśliwa, kiedy się wyrwała z więzów ciała. Dla nich zmartwychwstanie rodziło pytanie, po co dusza ma wracać do wstrętnego ciała, które jej tylko kłopotów przysparza. Paweł w swoim liście podszedł w sposób oryginalny, nie udowadniał, że Jezus zmartwychwstał, bo to dla Pawła była oczywistość, gdyż on się spotkał ze Zmartwychwstałym. Natomiast posłużył się argumentem, że skoro Jezus zmartwychwstał, wobec tego umarli także zmartwychwstają. To jest po prostu pokazanie, jak jest odmienna mentalność nawet św. Pawła od naszej. Pisząc do Koryntian, żeby im przybliżyć obraz zmartwychwstania, powiedział tak: „To, co zasiewasz, nie jest od razu ciałem, którym ma się stać potem, lecz zwykłym ziarnem, na przykład pszenicznym lub jakimś innym. Bóg zaś takie daje mu ciało, jakie zechciał; każdemu z nasion właściwe” (1 Kor 15, 37–38). Paweł posługuje się tym argumentem, mówiąc, że tak samo sieje się ciało – jeżeli chodzi o ludzi – zniszczalne, a powstaje niezniszczalne; sieje się ciało, które on nazywa ciałem psychicznym, to znaczy ciałem ożywianym tchnieniem życia, a powstaje ciało – to jest przymiotnik, którego nie możemy strawić – pneumatyczne, to znaczy przeniknięte Duchem, którego zasadą życia staje się Duch (por. 1 Kor 15, 42–44).

I to jest, proszę państwa, odpowiedź na postawione wyżej pytanie, bo my jeszcze mamy jeden kłopot ze zmartwychwstaniem Jezusa. Dla nas zmartwychwstanie Jezusa to jest fakt, który się wydarzył dwa tysiące lat temu, a nasze własne zmartwychwstanie jest gdzieś w dalekiej przyszłości, to powszechne zmartwychwstanie. Oczywiście każdy z nas jest po cichu przekonany, że to nie będzie za jego życia, ale to nie jest absolutnie pewne, że to nie będzie za naszego życia. Natomiast dla uczniów Jezusa zmartwychwstanie Jezusa to jest początek powszechnego zmartwychwstania, to nie jest odrębne

wydarzenie. Oni wiedzieli, przecież widzieli, że umarli jeszcze nie zmartwychwstają. Im więcej czasu upływało od zmartwychwstania Jezusa, tym bardziej widzieli, że to nie było „zaraz" – przynajmniej nie w kategoriach czasu – ale to było prorockie „wkrótce". Znaczy to, że właściwie jest to jedno wydarzenie: Chrystus zmartwychwstał jako pierworodny spośród umarłych. Oczywiście nie odpowiedziałam na wszystkie pani pytania, ale musimy zostawić jeszcze miejsce dla innych.

Mężczyzna: Pani profesor powiedziała, że nasz kult maryjny jest jakby przesadzony. Chciałem właśnie zapytać o tę przesadę w kontekście zawołania Jana Pawła II TotusTuus i wyznań Prymasa Tysiąclecia o szlaku wiodącym przez Maryję do Boga. Czy jeśli my do Matki Bożej się zwracamy i w pierwszym momencie Ją tylko widzimy i do Niej się modlimy, to czy to nie jest tak, że Matka Boża nas mimo wszystko skieruje do Jezusa? Bo zarzucają nam, że papież jest maryjny, bo wyszedł z naszego kraju, bo w Polsce jest przesadny kult maryjny. Czy to jest rzeczywiście przesada z kultem maryjnym?

Kobieta: Ja chciałam zadać pytanie o różaniec, bo się z tym wiąże. Ojciec Święty wszystkim odwiedzającym go rozdaje różańce, co jest takim niemym wezwaniem do odmawiania różańca.

A.Ś.: Proszę państwa, ja nie powiedziałam, że kult Matki Boskiej jest przesadny, tylko że bardzo często jest zniekształcony, a to są dwie różne rzeczy. O to zniekształcenie na pewno nie będę oskarżać Ojca Świętego, mam nadzieję, że Maryja potrafi sobie poradzić z nami, tylko po co Jej sprawiać tyle kłopotu. Wielkość Maryi polega na tym, iż Ona jest jakby niczym przed Bogiem, Jej świętość polega na tym, że Ona jest całkowicie przezroczysta. Że w Niej i przez Nią działa Bóg, Bóg działa w tym określonym kształcie. Chciałabym tu odwołać się do pewnego nie najlepszego porównania, gdyż chodzi o zupełnie inne wielkości. Mam na myśli porównanie Teresy od Dzieciątka Jezus z Maryją. Może nas ono naprowadzić na świętość Maryi. Mała Teresa, kiedy jej zacytowano już w ostatnim okresie jej choroby czyjeś zdanie, „że dusza, która doszła do swojej miłości, może oglądać swoją piękność beż żadnej szkody dla siebie", wtedy się zaśmiała i powiedziała: „Jaka moja piękność, ja widzę tylko łaski Boże". Proszę zwrócić uwagę, co Maryja odpowiedziała na pozdrowienie Elżbiety.

Każdy z nas, to znaczy normalny człowiek, nawet bardzo przyzwoity, ale nie tak całkowicie nastawiony na Boga jak Ona, być może powiedziałby: „Wiesz, takie rzeczy mi mówisz" albo zacząłby się bronić: „To nie ja, tylko Bóg". Ona natomiast wygłasza hymn Wielbi dusza moja Pana.Ona niczego nie odrzuca, Ona niczemu nie zaprzecza, Ona przyjmuje w pełni tę łaskę. Tylko wskazuje na źródło tej łaski.

Natomiast w naszej pobożności jest bardzo często tak jak w bardzo pięknej skądinąd pieśni: „Kiedy Ojciec rozgniewany siecze, szczęśliwy, kto się do Matki uciecze". Ktoś zadał pytanie w czasopiśmie „W drodze" i na nie odpowiedział nie byle kto, bo o. Salij. O. Salij zwrócił uwagę na to, że Bóg nie jest tylko miłosierdziem, ale jest także sprawiedliwością. Słusznie. Tylko nie zwrócił uwagi na jedną rzecz, że w tej pieśni jest przeciwstawienie tego nie tyle okrutnego, ile surowego, nielitościwego Boga i miłosiernej Matki Boskiej. Przepraszam bardzo, ale Matka Boska to jest Miłosierdzie Boże, które przyjęło taki kształt. I jestem głęboko przekonana, że Maryja nigdy nie przesłania Boga, tylko do Boga prowadzi. Do Boga prowadzi i wtedy jest wszystko dobrze.

Natomiast to, czego się boję, to przesłodzenia tego kultu tak do niemożliwości. Kiedyś zapytał mnie młody człowiek, dlaczego nasze kościoły – oczywiście te stare – są tak pełne różnych świecidełek. Podczas pobytu w Niemczech chodził on do kościołów katolickich i tamte świątynie były proste. I rzeczywiście tak jest, zresztą są też rzeczy troszkę zabawne. W mojej parafii jest tak, że Matka Boska Częstochowska ma swoją kaplicę, jest Matka Boska Nieustającej Pomocy i jest jeszcze obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. I tam, gdzie jest obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, robi się żłobek, grób itd. Kiedyś po świętach, kiedy tego obrazu nie było, nasz proboszcz spróbował nie powiesić tego obrazu z powrotem, więc od razu były protesty. Rozumiem, że to już jest tradycja, ale tworzy się taka sytuacja, że jak mnie Matka Boska Ostrobramska nie posłucha, to pójdę do Matki Boskiej Częstochowskiej. Albo gdy Jan Paweł II był po raz pierwszy w Meksyku, to wśród sztandarów, które go witały, był taki, gdzie Matka Boska z Gwadelupy całowała Matkę Boską Częstochowską. Chodzi mi więc tylko o jedno, żebyśmy nie przeciwstawiali Maryi Bogu, bo Maryja jest taka dobra, a Bóg jest

taki surowy. Jeżeli Maryja jest taka dobra, jeżeli jest taka miłosierna, to jest to Jego Miłosierdzie.

Natomiast jeżeli chodzi o odpowiedź na pytanie o różaniec, to mnie się ogromnie spodobał różaniec, który był proponowany przez jakieś zgromadzenie zakonne, gdzie były troszeczkę inne tajemnice. To znaczy tajemnice radosne były te same, natomiast potem były tajemnice z życia Jezusa. Było na przykład Kazanie na Górze. Proszę państwa, bardzo kocham różaniec, tylko trzeba pamiętać o jednej rzeczy, nasze „zdrowaśki" są jakby muzyką, jakby akompaniamentem, a sercem różańca jest przeżywanie z Maryją tajemnic życia Jezusa. Jak kiedyś powiedział o. Augustyn [Jankowski], różaniec to nie jest modlitwa ustna, to jest właśnie modlitwa kontemplacyjna.

Kobieta: Chciałabym zapytać o pewną rzecz. Pani zachęcała nas do wiary zuchwałej. Uderzyło mnie w tym, że Pan Bóg nie będzie się na nas o to gniewał, ale przecież ten sędzia z przypowieści był zły na tę kobietę. Tak samo ten, który dał chleb swojemu przyjacielowi, też się gniewał na niego. Przestraszyłam się trochę.

A.Ś.: Bardzo dobre pytanie, tylko zwracam państwa uwagę, że jeżeli weźmiemy tekst Ewangelii, to zobaczymy, że jeżeli ktoś się gniewał w tej scenie, to ten, który się dobijał do drzwi. Ten się gniewał, zdecydowanie, bo tamten leżący sobie wygodnie z dziećmi odmawiał mu czegoś, co mu się święcie należało. Odmawiał wypełnienia obowiązku gościnności i jestem przekonana, że – to już interpretacja – jeżeli w końcu spełnił tę prośbę, to wstydził się potem. Na pewno się nie gniewał, może go jeszcze ucałował i uściskał, żeby się tamten na niego nie gniewał.

Jeżeli chodzi o tego sędziego, to należy pamiętać, że mamy do czynienia z przypowieścią, a w przypowieściach nigdy nie można przenosić żadnego szczegółu z jednej płaszczyzny na drugą, bo to jest tylko porównanie. Tutaj nie jest ważny przyjaciel siedzący w domu i sędzia, tylko ważny jest ten, kto prosi. I tu ważne jest, że ten proszący bezczelnie człowiek w końcu dostaje to, o co prosi. Natomiast czymś innym niż przypowieść jest alegoria i my często mieszamy dwie rzeczy. W alegorii się liczy każdy szczegół, ale my nie mamy tak dużo alegorii w Nowym Testamencie, mamy na przykład alegorię Jezusa

jako winnego krzewu (J 15, 1–11). Tutaj się liczy każdy szczegół, i te latorośle, i to, że one zginą wycięte.

Bardzo państwu polecam książeczkę o. Augustyna [Jankowskiego] Królestwo Boże w przypowieściach. To jest świetna książka, bo o. Augustyn nie zawsze pisze w sposób jasny, przejrzysty, a to jest napisane w sposób przejrzysty i wyraźnie widać, co to jest przypowieść.

A teraz wracając do samego pytania, Bóg się nigdy nie gniewa, jeżeli Mu zawracamy głowę, cała rzecz polega na tym, iż nam się zdaje, że Panu Bogu może się to znudzić, bo my Pana Boga antropomorfizujemy. Wyobrażamy sobie Pana Boga jako takiego godnego człowieka, jakiegoś króla, jakiegoś bardzo ważnego człowieka, i uważamy, że to nie w porządku, by takie nic jak ja zawracało Mu głowę czy wręcz Go ciągle nudziło. Jemu przecież o to chodzi. Przez całą Ewangelię rozbrzmiewa wezwanie do nieustannej modlitwy, dlatego że tylko nasza nieustanna modlitwa pozwala Bogu działać w świecie. Nie dlatego, że On nie mógłby inaczej, ale On tak świat stworzył. On przychodzi na świat przez ludzi, to jest Jego normalna droga przychodzenia. Bóg-Człowiek mógł się pojawić znikąd, ale przyszedł przez Maryję i przez wszystkich przodków. W naszym życiu były takie momenty, zwłaszcza jakieś ważne, że Bóg przyszedł do nas przez człowieka. I normalną drogą jest to, że Bóg nas prosi. Wyobraźmy sobie, że jakiś mądry człowiek mówi nam: „Ja ci zrobię to, tylko mnie poproś". Jeśli go nie poproszę, a się z nim spotkam, to on będzie miał do mnie pretensje o to, dlaczego go nie poprosiłem. A w wypadku Boga jest gorzej, bo nie tylko nie dostanę czegoś, ale nie prosząc, nie nalegając, nie spełniam woli Bożej i uniemożliwiam Bogu działanie w świecie. On będzie działał i tak beze mnie, ale musi ominąć tę zwyczajną drogę. Tę drogę, którą jestem ja, On sobie zaplanował. Mówiąc bardzo śmiesznie i bardzo niewłaściwie, On sobie zaplanował różne drogi wejścia w świat i każdy z nas jest taką Bożą drogą, przez którą Bóg wchodzi w świat. Rezygnując z modlitwy, my Mu utrudniamy działanie.

Kobieta: Jest jakaś rozterka między tą natarczywą, upartą modlitwą, nawet bezczelną prośbą, a tą postawą „niech będzie to, czego Ty chcesz, bądź wola Twoja". Z drugiej strony, jak się czyta w Piśmie Świętym, to te prośby, z którymi ludzie zwracali się do Chrystusa, właśnie czasem były bardzo natarczywe i jednocześnie

takie jednoznaczne, o doczesne dobro, zdrowie, chleb, uwolnienie z opętania, to były takie prośby, z jakimi nieraz my się zwracamy. A nie wiemy, czy Bóg tego chce, żebyśmy od tego byli uwolnieni.

A.Ś.: Oczywiście, że nie wiemy, i niech pani sobie przypomni natarczywą prośbę Jezusa skierowaną do Ojca, żeby – jeśli to możliwe – ominął Go kielich (por. Mk 14, 35). Ma pani tu przykład i nie próbujmy być bardziej święci niż Jezus. Tak że prosić my nie tylko możemy, ale i musimy, a tak jak Jezus mógł się modlić o odejście tego kielicha, tak samo my możemy się tak modlić. Problem jednak w tym, że myśmy modlitwę poszatkowali: modlitwa błagalna, przebłagalna, dziękczynna, uwielbienia, a to wszystko jest jedno, bo nie można naprawdę Boga prosić, nie dziękując Mu jednocześnie. Nie można Bogu dziękować, nie prosząc Go, i nie można Go uwielbiać, jeżeli nie dziękujemy Mu, jeżeli nie prosimy Go o łaski. To niekoniecznie musi być w pełni świadome, jeżeli jest to po prostu bycie z Nim, w którym jest wszystko zawarte. I wtedy nie trzeba się zastanawiać, czy ja się modlę tak czy siak, po prostu jestem z Nim. Muszę państwu powiedzieć bardzo osobiście, że jak byłam bardzo młoda, to potrafiłam się modlić w bardzo dziwnych momentach i nic mi nie przeszkadzało. Hałas, nie hałas, wykład, nie wykład, teraz mi na ogół przeszkadza. Kiedyś byłam w Ziemi Świętej i jechaliśmy z Tel Awiwu do Haify, w autobusie była włączona muzyka arabska, taka nie za głośna, dosyć przyjemna, ale właśnie muzyka. Ludzie gadali naokoło i Pan Bóg pozwolił, że mnie to nie przeszkadzało, to był dar. Zresztą nasza modlitwa jest zawsze Jego darem, nawet ta trudna modlitwa, którą z takim wysiłkiem wyrąbujemy, ta sucha modlitwa, taka ciemna modlitwa. Im nam trudniej przychodzi zabrać się do tej modlitwy, im gorzej nam jest, tym ta modlitwa jest przyjemniejsza Bogu, chociaż nie jest przyjemniejsza dla nas, bo wtedy modlimy się tylko dla Niego, a nie dlatego, żeby mi było dobrze, żeby mi było przyjemnie. Czy nawet nie dlatego, żeby znaleźć spokój, ale dlatego, że On tego chce, dla Niego.

Mężczyzna: Jesteśmy przy modlitwie. Kiedy człowiek jest przemęczony i prawie śpi, na przykład na nocnym czuwaniu, jaki jest sens takiej modlitwy? Czy sens modlitwy o coś, co wynika z naszego zaniedbania, na przykład tramwaj chodzi co godzinę, o 10.00, 11.00,

a ja wychodzę o 10.10 i tego tramwaju nie będzie, a ja wołam: „Daj mi, Boże, tramwaj”. Czy jest jakiś sens w tej modlitwie?

A.Ś.: Bardzo dobry przykład, zacznę od drugiego pytania. Oczywiście jest sens. Jeżeli coś zaniedbałam i to jest moja ewidentna wina, to mogę prosić Boga, żeby On tę winę nadrobił, żeby coś zrobił. Bo miarą modlitwy jest moja ufność, moje zawierzenie Bogu.

A jeśli chodzi o czuwanie, to bym powiedziała, że to zależy. Wiele lat temu oskarżałam się o. Augustynowi [Jankowskiemu] w konfesjonale, że zasypiam na modlitwie. To on się zapytał, ile godzin przeciętnie sypiam. Powiedziałam, że mniej niż sześć. I wtedy on powiedział kategorycznie, że muszę spać co najmniej siedem godzin dziennie, co nie znaczy, że nie może być jakichś specjalnych okazji, by jedną noc przetańczyć albo jedną noc przemodlić. Oczywiście, zdarza się, że z jakichś powodów zasypiamy na modlitwie, a jak się obudzimy, to się zaczynamy na nowo modlić. Ale nie martwmy się tym. Tu znowu Mała Teresa, która przecież miała dwie godziny modlitwy karmelitańskiej, i ona powiedziała, że się nie przejmuje, jak zasypia, bo jej sen także jest dla Boga, nim także Boga chwali. Nie róbmy sobie skrupułów. Oczywiście jeżeli ktoś może spać siedem godzin czy tyle, ile mu potrzebne rzeczywiście, to niech śpi, bo inaczej to byłoby zaniedbanie. Natomiast jeżeli tak się składa, że człowiek ma tyle zajęć, że nie ma czasu na sen dostatecznie długi, to trzeba po prostu potraktować ten sen także jako modlitwę, zwyczajnie bardzo prosto, czyż nie śpiewamy „a gdy będziem zasypiali, niech Cię nawet sen nasz chwali”. Cała rzecz polega na tym, że wszystko w naszym życiu powinno chwalić Boga, nie tylko wtedy, kiedy się modlimy świadomie, ale kiedy cokolwiek robimy, kiedy pracujemy, kiedy się bawimy... Pamiętam takie cudowne lato, cudowne jezioro, cudowną wodę, gdzie każdy ruch moich rąk, każdy ruch mojego ciała w wodzie to była modlitwa, to była modlitwa uwielbienia i właśnie tak powinno być.

Kobieta: Jeśli chodzi o modlitwę, o której wiem, że jest Panu Bogu miła, to, o co proszę, jest sensowne, Pan Bóg mnie wysłuchuje, a potem jest jakieś załamanie w spełnieniu mojej prośby i już nie mam siły prosić z taką natarczywością jak poprzednio o tę samą ważną sprawę. I wtedy po prostu mówię Panu Bogu, że nie mam siły, ale

mam równocześnie ufność, że to, o co tak bardzo prosiłam, to się spełni. Więc sądzę, że to jest chyba dostateczne rozwiązanie.

A.Ś.: Ja tutaj się tylko zastanawiam, co to znaczy, że pani nie ma siły prosić, a ma pani ufność. Jeżeli pani ma ufność, to pani ma i siłę, to jest jedno i to samo. Oczywiście, że najważniejsze jest właśnie to zawierzenie, ta ufność. Rozumiem, że pani nie ma siły powtarzać tych samych słów, ale jeżeli ma pani ufność, to jest to w dalszym ciągu ta sama modlitwa.

Mnie się zdaje, że jeszcze trzeba się dogrzebać do tego, co jest w środku człowieka. My widzimy tak naprawdę, co się dzieje na powierzchni naszej świadomości, i czasem jest dobrze wejść w siebie i zobaczyć, co tam jest naprawdę. Na przykład człowiek jest rozrywany różnymi chęciami, zmartwieniami. Warto zapytać siebie, czego naprawdę chcę. I wtedy się czasem okaże, że naprawdę chcę po prostu Boga i to jest takie bardzo radosne odkrycie. Mnie się zdawało, że chcę różnych innych rzeczy, co nie znaczy, że ja tamtych nie chcę, tylko to jest innego rodzaju chcenie. I tutaj, wydaje mi się, to samo można by przenieść na pani pytanie o brak siły, bo pani się tyle modliła i nic z tego nie wyszło. A to jest na wierzchu, że tak powiem.

Pamiętam, jak w czasach komunistycznych w warszawskim piśmie ukazał się artykuł na temat świeckich rekolekcji. To znaczy, że ludzie niewierzący też powinni znajdować trochę czasu na zastanowienie się nad sobą. Mnie to wtedy bardzo uderzyło, bo jeżeli wejdziemy w siebie, to tam spotkamy naszego Pana, nie spotkamy tam pustki, a te dręczące nas pytania: „Czy mnie stać jeszcze na to, czy mnie nie stać" chyba są najczęściej powierzchowne.

Jeszcze krótko powiem coś na temat adoracji. Zostałam kiedyś zaproszona na adorację Najświętszego Sakramentu, były tam piosenki, pieśni, wiersze i wszystko było, tylko nie było chwili milczenia. Ja się niczego tak nie boję jak adoracji, gdzie jest wszystko, tylko nie ma czasu na adorację. I wydaje mi się, że naprawdę mniejszym złem albo nawet żadnym złem jest zaśnięcie na adoracji.

Mężczyzna: Św. Paweł napisał: „Wszystkie wasze troski przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganiach z dziękczynieniem",

gdzie indziej napisał, że nie otrzymujemy, bo się źle modlimy. Czy w tym ferworze próśb doczesnych nie zatracamy modlitwy o cel ostateczny? Jakie proporcje celów doczesnych i celów ostatecznych zachować w modlitwie?

A.Ś.: Wydaje mi się, że odpowiedź jest prosta. W ogóle nie należy się zastanawiać nad proporcjami, bo tutaj chodzi o jedno (jeżeli chodzi o to, co powiedział św. Paweł w Liście do Filipian: „O nic się już nie martwcie, ale w każdej sprawie wasze prośby przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganiu z dziękczynieniem" [4, 6]), że jeżeli człowiek jest na modlitwie, to przychodzi na modlitwę z całym ładunkiem spraw codziennych. I jeżeli te sprawy przychodzą mu do głowy i są to sprawy ważne, to po prostu robi się z nich modlitwę, przedstawia się je Bogu. Jezus nam nie powiedział, że tyle czasu na to, a tyle czasu na tamto. Weźmy pewne porównanie, jeżeli idziemy do kogoś nam bardzo bliskiego, to przecież nie będziemy sobie z góry układać, co mu powiemy. Tylko o jednym nie zapominajmy na modlitwie, że trzeba dopuścić do głosu drugą stronę. To znaczy, że trzeba także pozwolić Panu Bogu zabrać głos, bo my bardzo często po prostu gadamy. To nie musi być jakaś modlitwa, którą odmawiamy, to mogą być nasze myśli, które nas pochłaniają. Wtedy nie martwmy się, tylko przeprośmy Boga. I powiedzmy, że na przyszły raz postaramy się lepiej.

Mężczyzna: Chciałbym zapytać panią profesor o modlitwę o uzdrowienie, bo wszyscy mamy choroby. W czasie Mszy Świętej można się też modlić o uzdrowienie, bardzo często modlimy się o to, a Pan Bóg jakby nas nie wysłuchuje. Chodzi mi o jakąś radę w tej sprawie.

A.Ś.: Niech sobie pan przypomni siostry Łazarza, one posłały do Jezusa z wiadomością, że ten, którego kocha, choruje. I Jezus świadomie został, a mógł nie dopuścić do tego, żeby Łazarz umarł. I nawet bodajże Marta powiedziała do Niego: „Gdybyś tu był, nie umarłby brat mój". Jezus Łazarza wskrzesił, ale dlaczego wskrzesił? Oczywiście wskrzesił go z czystej litości, ale nie tylko. Taki był plan Boży. Jeżeli chodzi o modlitwę o uzdrowienie, to jest to taka sama prośba jak każda inna.

Też mam doświadczenie w tej mierze. Mija 30 lat, jak miałam raka, carcinoma solidum. Carcinoma to właśnie rak, to wiedziałam od początku, natomiast co znaczy solidum, to się dowiedziałam stosunkowo niedawno, od przyjaciółki, która jest onkologiem. Powiedziała mi dopiero parę lat temu, że to jest taki właśnie rodzaj, który daje bardzo łatwo i bardzo dużo przerzutów. Modliłam się o uzdrowienie.

Odgaduję, że ma pan na myśli takie specjalne Msze z modlitwą o uzdrowienie. Ja mam duże zastrzeżenia do tych praktyk, dlatego że tak mi jakoś to nie pasuje, to raczej robi na mnie wrażenie i ludzie do tego podchodzą w większości jak do jakichś praktyk magicznych. Moja odpowiedź na pytanie pana byłaby taka: naturalnie módlmy się o uzdrowienie nas samych czy kogoś innego, ale zawsze módlmy się właśnie z tym zastrzeżeniem, jeżeli taka jest wola Boża. Może Bóg ma lepsze plany, może Bóg chce czegoś więcej, czegoś lepszego, czegoś wspanialszego, ale oczywiście módlmy się. Ja chyba tak się modliłam wtedy. Jedno i drugie jest tak samo dobre, tylko najważniejsze jest, żeby się modlić, nawet jeżeli nasza modlitwa będzie kulawa, jeżeli to nie będzie według wszystkich przepisów teologii.

Najważniejsze jest, żeby nasza modlitwa nie nabierała charakteru magicznego. Czym się różni ogólnie magia od religii? Religia to jest postawa człowieka, który służy Bogu, służę Bogu bez względu na to, czego Bóg ode mnie chce. Natomiast magia to jest próba zmuszenia Boga, żeby On mi służył. Bo jeżeli mi nie spełnisz tego, to ja się obrażę. Panu Bogu oczywiście zależy na tym, żebym się modliła, ale to nie jest metoda, więc to jest tylko to jedno zastrzeżenie, żeby nasza modlitwa była modlitwą, a nie zaklęciem magicznym, które próbuje zmusić Boga do tego, żeby zrobił, czego ja chcę.

Kobieta: Świetnie zdaję sobie sprawę, że Panu Bogu trzeba za wszystko dziękować, a jak to jest w przypadku śmierci osoby najbliższej, właśnie matki? Wiadomo, że to jest rzecz nieodwracalna, że to jest rzecz naturalna, ale jak dziękować?

A.Ś.: Proszę pani, św. Paweł mówi „za wszystko dziękujcie” i to jest nasze głębokie przekonanie, nasza wiara, nasze zawierzenie. W takim wypadku jest to sprawa dosyć prosta, gorzej jest, trudniej jest, jeżeli spotyka mnie czy kogoś bliskiego coś złego od drugiego człowieka, którego posądzam o złą wolę. Ale jeżeli to jest Bóg, który działa, a

śmierć to jest ewidentne działanie Boga, jest to jedyna decyzja, którą On zachowuje dla siebie.

Proszę państwa, wielką sztuką jest dziękować za wszystko. Ja mam taką książkę, którą sobie kupiłam, bo mnie urzekł tytuł tej książeczki. Autor jest pastorem zielonoświątkowców i tytuł angielski właściwie jest nieprzetłumaczalny na polski. Po angielsku to brzmi Prison to praise, prison to więzienie, to praise to chwalić, wielbić. Oczywiście to jest gra słów, której się nie da oddać po polsku. To jest autobiografia, on był chyba hipisem, w każdym razie popełnił jakąś kradzież czy morderstwo i siedział w więzieniu. Był bardzo nieszczęśliwy, on w ogóle był zawsze bardzo nieszczęśliwy, ale wtedy nagle zrozumiał, że on ma za wszystko dziękować, że ma dziękować za to, że siedzi w więzieniu. I cała jego duchowość została oparta właśnie na tym dziękowaniu za wszystko, bo wszystko, co mnie spotyka z zewnątrz i wewnątrz, poza moją własną wolą, która może powiedzieć „nie", wszystko jest dotknięciem Boga, wszystko jest dotknięciem Jego łaski, Jego miłości; nawet jeżeli tego nie rozumiemy w danym momencie, po prostu trzeba Mu zawierzyć. I potem już jako pastor opowiada rzeczy dla mnie zupełnie niesamowite. Jest wojna wietnamska i przychodzi do niego matka, której syna powołano do wojska i wysyłają go do Wietnamu, i ta matka jest zupełnie załamana. On jej mówi: „Klękaj i dziękuj Bogu za to". Jej pierwszy odruch to bunt, nie chce, ale potem to robi i odnajduje się w tym dziękczynieniu.

To zresztą jest jeszcze jedna rada dla wszystkich, którzy mają trudności z modlitwą. Jeżeli jest nam się trudno modlić, to próbujmy dziękować za wszystko, przede wszystkim za to, za co mamy dziękować; każdy z nas ma za co dziękować. Dziękujmy za wszystko, bo wszystko jest Jego łaską i to jest jedna z najcudowniejszych rzeczy.

Pozwolę sobie, że tak powiem, na wycieczkę osobistą. Ja tak przeżywałam śmierć mojej matki, więc mogę to pani też powiedzieć, ale odkryłam to kiedy indziej. To był rok '56, była wiosna, lód zrzucony z dachów, chciałam przebiec szybko przez ulicę, poślizgnęłam się na soplu, uderzyłam stopą o krawężnik. Przewróciłam się, ktoś podbiegł, żeby mnie podnieść, od razu zobaczyłam, że na tej nodze stanąć nie mogę, bo miałam stawy tak wykręcone. Zawieźli mnie na pogotowie, nie było lekarza, tylko dwie pielęgniarki, a one usiłowały mi wytłumaczyć, że się z taką nogą

urodziłam. Jak przyszła lekarka, to nie miała wątpliwości. Pierwsze moje wrażenie, jak zobaczyłam nogę, to było przerażenie, bo wtedy kilka osób sobie złamało nogi. Wszystko złe może spotkać kogoś innego, ale nie mnie, to jest taki odruch. I to było coś, co było zupełnie bez udziału mojej woli, bo nie pamiętam, żebym się zwróciła do Boga, ale miałam uczucie, że to na mnie spadło bez żadnego mojego udziału, że to jest Jego miłość bez żadnego wytłumaczenia. To była tak nieprawdopodobna radość, która mnie niosła przez cały ten dzień. To był trudny dzień, to się stało około południa, potem musiałam na pogotowiu czekać do 15.00, żeby mi zrobiono rentgen, bo nie było pani, która robiła rentgena, potem czekałam do 17.00 na karetkę, która miała mnie zawieźć na ostry dyżur i jeszcze czekałam we wspólnej poczekalni. Był jakiś pijak, który się zaczął przystawiać do mojej zdrowej nogi, w rezultacie składali mi tę nogę w szpitalu do 21.00 i muszę powiedzieć, że przez cały czas byłam pełna radości.

Ks. Fedorowicz kiedyś opowiadał taką historyjkę, przypowieść: Jesteśmy na 10. piętrze wieżowca, na parapecie otwartego okna siedzi 7-letni Jaś, przychodzi matka i mówi: „Jasiu, zejdź!". „A dlaczego?" „Bo spadniesz". „Ja nie spadnę". I matka straciła argument, dlatego że Jaś był przekonany, że nie spadnie. To nie był żaden argument dla niego. Matka powinna była powiedzieć: „Zejdź, bo cię o to proszę, zrób to dla mnie". Właśnie tak robi z nami Bóg, Bóg nam nie odpowiada bardzo często na pytanie dlaczego, ponieważ nie może, gdyż między naszym umysłem a Bogiem jest znacznie większa przepaść niż między 7-letnim Jasiem a jego mamą. Wtedy Bóg nam mówi: „Zawierz mi" i to jest właśnie to.

Wszystko, co nas spotyka, a już zwłaszcza to, co nas spotyka z ręki Boga, to zawsze jest Jego miłość, jeżeli nawet pani w tej chwili tego zupełnie nie widzi, nie może zrozumieć. Dlaczego to miała być miłość Boga, pani kiedyś zobaczy. To jest rzecz, którą zawsze zobaczymy, być może wiele rzeczy zobaczymy już na tym świecie, ale wszystko zobaczymy dopiero po tamtej stronie.

Mężczyzna: Kiedy to nas Pan Bóg opuszcza tak, jak Ojciec opuścił Jezusa na krzyżu? Chciałbym prosić o pani interpretację, kiedy nas Bóg opuszcza jak Jezusa na krzyżu?

A.Ś.: Trzeba sobie powiedzieć, że Jezus chciał tego, On dobrowolnie się zgodził na test, w którym wydaje się ostatecznie na śmierć i na wszystko, co z tą śmiercią jest związane. To jest moment, kiedy Jezus ostatecznie się wydaje na śmierć do końca i – jak to powiedział jeden z teologów – ci, którzy przychodzą potem, żeby Go uwięzić, żeby Go ubiczować, żeby Go zabić, tylko spełniają wolę Boga, bo Jezus już sam z siebie ofiarę złożył. Natomiast ja bym powiedziała inaczej, ja bym zadała pytanie odwrotne: dlaczego Jezus przeżywa takie najgłębsze opuszczenie? Słowa „Boże mój, czemuś mnie opuścił!?" są wypowiedziane po aramejsku, natomiast gdyby Jezus chciał, jak niektórzy próbowali to tłumaczyć, recytować Psalm, to by recytował go po hebrajsku, bo tak wyglądały modlitwy. A Jezus wraca, jak każdy umierający człowiek, do swojego ojczystego języka. Nie wiem, czy w tym momencie Jezus pamiętał czy nie pamiętał – bo trudno jest powiedzieć, co pamięta człowiek umierający – że to jest początek Psalmu 22, ale przede wszystkim wyraził swe całkowite opuszczenie, swą całkowitą samotność, całkowitą ciemność. Dlaczego? Po to, żeby nikt z nas nie był taki samotny.

Pan pytał, kiedy człowiek taką samotność przeżywa. Otóż ludzie przeżywają podobne poczucie opuszczenia bardzo często, niekoniecznie w obliczu śmierci, tylko powinni sobie w takim momencie przypomnieć, że nie są w tym opuszczeniu sami, że Syn Boży, też człowiek, który jednak był tak blisko złączony z Bogiem jak żaden inny człowiek na świecie, przeszedł przez tę ciemność po to, żeby być z nami do końca, żeby umrzeć naprawdę ludzką śmiercią, a nie jakąś śmiercią „na niby".

W odpowiedzi na pańskie pytanie można też powiedzieć, że każdy człowiek może powiedzieć, iż wtedy Bóg opuszcza go tak jak Jezusa na krzyżu, kiedy ma takie doświadczenie, kiedy tak to odczuwa, często w chwili śmierci, bo podobno śmierć to jest odejście. Wydaje mi się też, że z jakichś powodów człowiek może przeżywać poczucie całkowitego opuszczenia nie tylko na progu śmierci, lecz za życia. I wtedy zawsze powinna być z nim ta myśl, że nie jest sam, chociaż czuje się sam jak Jezus. Jezus zresztą wiedział, że nie był sam. Jezus powiedział potem „Ojcze, w ręce Twoje oddaję ducha mego". Jezus wiedział, ale jest różnica między wiedzą a czuciem czegoś. Jezus w tym momencie czuł się absolutnie sam, to była taka samotność, o jakiej nie mamy pojęcia, dlatego że we wszystkich swoich trudnościach, w całym swoim życiu On zawsze był z Ojcem. Dlaczego

ta samotność? Właśnie dlatego, że Jezus chciał przeżyć do końca los ludzki i samotność ludzką, i śmierć ludzką. Dlatego na mocy tego Jezusowego przeżycia nikt z nas nie jest sam, nawet jeżeli mu się tak zdaje, a w momencie kiedy czuje się sam, powinien się odwołać do Jezusa.

Proszę państwa, musimy kończyć, bardzo dziękuję.

Mężczyzna: Myślę, że będę wyrazicielem każdego z nas, chcieliśmy bardzo podziękować pani profesor za wszystko, co nam powiedziała, i przede wszystkim za świadectwo, jakim jest dla nas. Papież Paweł VI powiedział, że teraz w chrześcijaństwie nie są najważniejsze wykłady i wykładowcy, którzy mają wiedzę, ale przede wszystkim ci, którzy świadczą, ci którzy mówią o Chrystusie, który jest obecny w ich życiu. Dlatego jeszcze raz serdecznie dziękuję pani profesor. Mam nadzieję, że było to pierwsze nasze spotkanie w tych murach, ale nie ostatnie.

A.Ś.: Dziękuję bardzo. Ja państwu też bardzo serdecznie dziękuję za słuchanie i jestem przekonana, że te nasze spotkania to było nie tylko moje dzieło, to było w równej mierze dzieło nas wszystkich. Bardzo serdecznie dziękuję.